GRUDZIEŃ 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA
TRYBUNA
ZACHOWAWCZEJ
MYŚLI
PAŃSTWOWEJ

TOM XVI

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 61 m. 3, TEL. 9-10-36

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Tel. 649-04

TREŚĆ:

CZY POLSKA WYTRZYMA?

WOBEC NOWEGO PROJEKTU PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO.

W obszernym artykule p. Józefa Czarneckiego, zamieszczonym w XII-ym (czerwcowym) tomie naszego pisma, p. t. „W obronie rodziny", podnieśliśmy zdecydowany protest przeciwko nowemu projektowi prawa małżeńskiego, wypracowanemu przez komisję oficjalną, w której, między innemi, figurują także nazwiska kilku profesorów naszych najwyższych uczelni, z prof. Lutostańskim na czele.

Odsyłając Szanownych Czytelników do wymienionego artykułu, nie mamy już potrzeby poruszać szczegółów tego projektu i to tembardziej, że — jak się dowiadujemy — sprawa jego realizacji przestała być na razie aktualną. Wypowiedziały się już zresztą przeciwko niemu różne organy prasy katolickiej i umiarkowanej, wypowiedział się także Episkopat w orędziu, podpisanem przez biskupów wszystkich obrządków katolickich. Ale ponieważ nie można przewidzieć, czy projekt ten nie wypłynie kiedyś znowu na porządek dzienny, dlatego uważamy za wskazane — jako katolicy, konserwatyści i Polacy — zaapelować jeszcze dodatkowo do opinji publicznej, aby w takim wypadku z gestem oburzenia odrzuciła i potępiła projekt ten lub podobny w całości, en bloc, nie wdając się w żadne z nim dyskusje, ustępstwa, czy kompromisy.

Nie szeregujemy się bynajmniej w rzędzie ostentacyjnej bigoterji, nie cierpimy na tak popularną w pewnych sferach naszego społeczeństwa manję prześladowczą przed masonerją. Ale stwierdzić musimy, że projektowana reforma prawa małżeńskiego całą swą treścią i tendencją robi rzeczywiście wrażenie, jakgdyby była podyktowana

owej komisji przez masonów i to masonów, będących zaciętymi wrogami Polski.

Polska bowiem dużo już zniosła i dużo jeszcze znieść może. Zniosła przecież i wielowiekową anarchję szlachecką i liberum veto i stukilkodziesięcioletnią, eksterminacyjną niewolę i opłakane skutki wojny światowej i napór komunizmu i demagogję stronnictw radykalnych i złą konstytucję i sejmokrację i światowy kryzys gospodarczy, z którego — w porównaniu z innemi państwami — wychodzi, jak się zdaje, stosunkowo dość jeszcze obronną ręką. Polak jest wytrzymały, to rzecz wiadoma. Mogli go raz poraz dusić różni wrogowie, aż niemal do utraty oddechu, mogli go zakuwać w kajdany i podcinać gospodarczo — ale złamać go nie byli w stanie.

To jednak pewna, że organizm polski, który tyle już wytrzymał, nie wytrzyma ateistycznej reformy prawa małżeńskiego i tem samem rozbicia nadprzyrodzonej misji rodziny. Nie wytrzyma takiego zamachu nietylko z moralnego, ale wprost nawet i z politycznego punktu widzenia.

Bo wszak nawet racjonalista-historyk, o ile jest prawdziwie człowiekiem wiedzy, nie może zaprzeczyć, że najważniejszym czynnikiem, który podtrzymał nasz naród w epokach najazdów i rozbiorów, było gorące przywiązanie do wiary. Symbolem tego przywiązania stała się raz na zawsze Jasnogóra. Gdyby nie potężny prąd religijny, z symbolu tego płynący, nie pisalibyśmy może już w tej chwili po polsku.

To też zewnętrzni nasi nieprzyjaciele na wschodzie i na zachodzie wiedzą o tem doskonale, że zburzyć w Polsce wiarę, to znaczy zburzyć Polskę politycznie raz na zawsze. Wiara katolicka występuje też przy głębszem badaniu naszych dziejów nietylko jako nasz puklerz najtrwalszy i najsilniejszy, ale wprost jako racja bytu Polski między nihilizującem prawosławiem (obecnie nawet bojowym ateizmem) wschodu, a racjonalistycznym protestantyzmem zachodu. To fakt besporny.

A przeciw tej naszej „Jasnogórze“ gotuje się obecnie nowy szturm, w którym sucha, do cna zmaterjalizowana, naśladująca po uczniowsku najradykalniejsze zachodnie wzory doktryna prawnicza chce narzucić nam ustrój rodziny deprawujący, djametralnie sprzeczny nietylko z podstawowemi zasadami religji katolickiej, ale i z najrdzenniejszą mentalnością społeczeństwa polskiego. Suchy, bezwyznaniowy utylitaryzm prawniczo-polityczny sądzi w swem zarozumialstwie, że sekularyzując wszystko, co nosi dotąd jakieś nadprzyrodzone, sakramentalne piętno, potrafi dostosować pretensje mocarstwowe Polski na poczekaniu do t. zw. zachodniego postępu. Dziecinne zamiary, nie sięgające swym horyzontem nawet jutra! A tem smutniejsze, że w konstrukcji takich zamierzeń wzięli kierowniczy udział profesorowie wyższych uczelni...

Przypominamy, że naród polski wprawdzie wiele nieraz grzeszył, wiele nieraz wykazywał bierności i uległości złym wpływom. W pewnych jednak, wyjątkowych wypadkach zrywał się zawsze zdecydowanie do walki i z walki tej — orężnej lub moralnej — wychodził dotąd zawsze zwycięsko. A było to właśnie w wypadkach obrony religji. I to jedno równoważyło zawsze klęski, ponoszone na innych polach.

O tem nie wolno zapominać społeczeństwu polskiemu i wszystkim jego sferom miarodajnym, jeżeli — chcą utrzymać tężyznę wewnętrzną narodu i niepodległość państwową. Dlatego więc, gdyby ów nieszczęsny projekt laicyzacji ślubów i w konsekwencji zniszczenia wyższego posłannictwa rodziny miał się znowu wyłonić na światło dzienne, to zerwać się powinna w społeczeństwie polskiem, bez względu na różnice przekonań politycznych, tak gwałtowna burza protestu przeciw projektodawcom takiej „reformy“ — kimkolwiekby oni byli — żeby zrozumieli raz na zawsze, iż z podobnymi projektami popisywać się w Polsce nie wolno!

Redakcja.

SIŁY ZBROJNE SOWIETÓW.

Rosja sowiecka wydała na swoje zbrojenia w r. 1922/23— 244 mil. rb. w zł., w r. 1926/27 — 692, w r. 1927/28 — 814, w r. 1928/29 — 930, w r. 1929/30 — 1.113 i w r. 1930/31 — 1.390 mil. rb. w złocie! (Dane zaczerpnięte z „Army, Navy and Air Force Gaz.“, 16. VII. 1931).

W ostatnim więc roku budżetowym wydano w państwie czerwonem pięć razy tyle na cele „obrony“, co przed dziewięciu laty. Ogółem zaś w ostatniem dziesięcioleciu Rosja czerwona, Rosja głodna i Rosja — zdaniem prasy zachodniej — wciąż “stojąca nad brzegiem przepaści“, potrafiła poświęcić na rzecz swego pogotowia zbrojnego olbrzymią sumę 5.183 milj. rb. i to nie jakichś zdeprecjonowanych rubli papierowych, ale efektywnych rubli złotych, co równa się w sumie zgórą 25 miljardów złotych polskich!

Porównajmy tę sumę, doprawdy astronomiczną, z jakąś kwotą kilkudziesięciu tysięcy dolarów, której jakiegoś dnia Rosja sowiecka za swoje weksle nie wypłaciła w terminie, na zasadzie czego mówi się z tryumfem na bliższym i dalszym zachodzie, iż „Związek Radziecki jest u progu bakructwa, skoro nie może wykupywać w terminie swych zobowiązań“. Nasuwa się mimowoli pytanie: czy na zasadzie tak drobnej stosunkowo niewypłacalności możemy tu mówić o bankructwie ogólnem — i pytanie następne: czy nie należałoby w powyższym przykładzie zastąpić wyrazu „nie może“ przez wyraz „nie chce“, co mogłoby być uzupełnione też np. w ten sposób: płacić nie chcę, bo i cóż mi zrobisz!?...“

Otóż stawiając takie pytanie, zastanówmy się, czy myśląc podobnie, jesteśmy tak bardzo dalecy od prawdy? Słowem, czy Rosja sowiecka dzięki temu, że w przeciągu

ostatnich lat dziesięciu — po straszliwem wyczerpaniu, spowodowanem udziałem w wielkiej wojnie, rewolucją, szeregiem niszczących wojen domowych i wreszcie wojną z Polską — mogła sobie pozwolić na wyasygnowanie 25 miljardów złotych na cele „obronne", czy może sobie tem samem pozwolić na to, by . . . drwić z tego świata, który jej z jednej strony „nie uznaje", z drugiej zaś usiłuje nawiązać z nią jakiś kontakt za wszelką cenę?!

Wydaje nam się, że na to pytanie pozostaje jedynie tylko twierdząca odpowiedź. Na innem miejscu uzasadnialiśmy w tem piśmie *), że program państwowy Rosji sowieckiej dąży do zamienienia Rosji czerwonej w urągający wszelkim zakusom z zewnątrz, samowystarczalny, zaopatrzony obficie we wszystko, co niezbędne, obóz zbrojny, z którego coraz to żywszym strumieniem płynie na świat trucizna zabójczej propagandy rozkładowej.

Dziś z kolei zastanówmy się nad tem, jaką jest mobilizowana, żywa siła uzbrojona tego obozu, zajmującego pół Europy i pół Azji, liczącego 160 miljonów ludności i utrzymywanego przy życiu jakąś fanatyczną wiarą w tryumf własnej idei, której dotychczas reszta świata nie umie, czy nie chce nic skutecznego przeciwstawić. Słowem, scharakteryzujmy, jak przedstawia się dziś zbrojne pogotowie Sowietów, tych Sowietów, które wciąż — od kolebki, aż po dzień dzisiejszy — „stojąc nad brzegiem przepaści", mogły jednak pozwolić sobie na szereg wojen domowych i wojnę z Polską, na kompletną niemal izolację w stosunku do świata zewnętrznego, na cały szereg niesłychanie ryzykownych reform wewnętrznych, na śmiałe, jeśli już nie wprost bezczelne rzucanie w twarz rękawicy temu światu, do którego od wieków i Polska należy?

Wspomnieliśmy już, że ludność Sowietów liczy w chwili obecnej około 160 miljonów głów. Biorąc więc za

---

*) P. art. w „Naszej Przyszłości" (tom wrześniowy b. r.) p. t. „Piatiletka a pogotowie wojenne Sowietów".

zasadę jeden procent od tej sumy — roczny kontyngent rekruta w Sowietach powinien sięgać około półtora miljona głów. W rzeczywistości jest nieco niższy; nie zapominajmy bowiem, że w Sowietach niema powszechnej służby wojskowej w ścisłem tego słowa znaczeniu, jak to widzimy niemal wszędzie na zachodzie, a więc i u nas. Od zaszczytnego tego obowiązku wyłączeni są w Rosji sowieckiej obywatele II-ej klasy, a więc synowie „inteligencji", duchowieństwa, kupców i „kułaków", słowem t. zw. burżuazji, czyli świata, z którym czerwona, rewolucyjna Rosja jest wciąż jeszcze w walce.

Takie postępowanie zmniejsza — i to stosunkowo znacznie — ogólną ilość roczną poborowych, zapewnia natomiast temu kontyngentowi z militarnego punktu widzenia wartość, od ilości nierównie ważniejszą: wartość wewnętrzną. Tak czy inaczej, daje to, po odrzuceniu nawet 30 — 40 procent absolutnie niezdolnych do służby wojskowej, olbrzymią cyfrę 800 do 900 tysięcy ludzi. Poborowi ci odbywają 5-letnią służbę wojskową, z czego we wszystkich rodzajach broni dwa lata pod bronią i trzy lata na urlopie bezterminowym, w marynarce zaś odwrotnie: trzy lata służby rzeczywistej i dwa lata urlopu bezterminowego.

Nie zapominajmy tu, iż poborowy nie przychodzi już, jak to było dawniej w Rosji, do pułku w stanie zupełnie „surowym". W ciągu bowiem lat ostatnich wszędzie w Rosji wprowadzone zostało przedpoborowe przysposobienie wojskowe i to zarówno w wielkich centrach przemysłowych i w szkołach, jak i na głuchej, dalekiej wsi; że w związku z tem w wielu wypadkach rekrut rosyjski, który dawniej w pułku carskim uczyć się musiał niemal mówić i chodzić, dziś w pułku czerwonym otrzymuje już nierzadko tylko niezbędny polerunek wojskowy; umie już przecież czytać i pisać, zna mustrę i szkołę strzelca, jest wreszcie najczęściej uświadomionym obywatelem sowieckim. Żołnierz taki, po przesłużeniu swych dwuch, trzech, względnie pięciu lat, nie kończy przez to jeszcze swego stosunku do wojska.

Służy przecież jeszcze do 40-go roku życia w rezerwie i pracuje podwójnie: 1) nad samym sobą, odbywając szereg ćwiczeń perjodycznych dla rezerwistów i 2) jako materjał kadrowy, jako instruktor wspomnianego przysposobienia wojskowego.

Ta olbrzymia cyfra, sięgająca niemal miljona głów poborowych, nie może być jednak wchłonięta w całości w ramy stałego wojska. Nie zapominajmy bowiem, iż nawet dawna, przedwojenna armja carska nie mogła zużyć w całości swego rocznego kontyngentu rekruta i pewną jego część w drodze losowania zwalniała do domów. Z nadmiaru tego jednak Rosja dzisiejsza nie rezygnuje i dlatego to widzimy w Sowietach podwójną organizację militarną: 1) regularnego wojska stałego i 2) wojsko terytorjalne — co znów o tyle przypomina dawne wzory rosyjskie, że Rosja carska, na równi ze swą armją regularną, posiadała także wojska nieregularne, t. zw. „kozackie".

Czerwone więc wojska terytorjalne (względnie milicyjne) posiadają tylko w zasadzie niezbędne kadry oddziałów, to znaczy pełny skład oficerski i podoficerski pułku, kompanji, czy plutonu. Do oddziału takiego przybywają szeregowi na krótki, ale niezmiernie intensywnie prowadzony kurs ćwiczeń (szkolenie), poczem natychmiast wracają do swych normalnych zajęć zawodowych.

Służba taka odbywa się w przeciągu lat pięciu, przyczem czas służby, faktycznie pełnionej w oddziałach (suma okresów ćwiczebnych), wynosi 8 miesięcy dla piechoty i artylerji, 11 miesięcy dla kawalerji i 9 miesięcy dla oddziałów technicznych. W obecnym czasie cała Rosja sowiecka podzielona jest już na rejony terytorjalne, odpowiadające ściśle administracyjnemu podziałowi państwa, przyczem wszyscy szeregowi „terytorjalni" służą ściśle we własnych rejonach. W ten sposób każda niemal wioska tworzy swój pluton, każda gmina kompanję, powiat — batalion i t. d. Ci wreszcie poborowi (zdolni do noszenia broni), którzy z tych czy innych względów nie odbywają służby w wojsku

regularnem, czy nie mieszczą się ramach wojsk terytorjalnych (przyczyna: rzadkość zaludnienia przy olbrzymich odległościach resp. trudnościach komunikacyjnych Rosji sowieckiej), podlegają służbie t. zw. pozawojskowej, mianowicie w przeciągu lat pięciu przechodzą w t. zw. „punktach szkolnych“ okresowe ćwiczenia wojskowe (ogółem conajmniej 6 miesięcy), prowadzone przez odkomenderowywanych ad hoc instruktorów z wojska stałego.

Tak więc widoczna tu jest dążność do przeszkolenia całego — uprzywilejowanego i nie uprzywilejowanego — kontyngentu rekruta. System ten, przy wszystkich wadach systemu terytorjalnego, czy milicyjnego, pozwala Sowietom na przygotowanie do wojny maximum ilości obywateli, co przy szkoleniu przedpoborowem, stosowanem na szeroką skalę, zapewnia Sowietom na wypadek mobilizacji niewyczerpany niemal rezerwuar sił ludzkich. Oczywiście uzbrojenie, wyekwipowanie, umundurowanie, wyżywienie, wreszcie przedewszystkiem przewiezienie z miejsca na miejsce takich mas natrafia w Rosji zawsze, już choćby tylko ze względu na odległości, na trudności bardzo poważne.

A teraz z kolei spróbujmy wniknąć w samo środowisko, gdzie cała ta, wyżej opisana służba jest pełniona i omówmy wewnętrzną budowę wojska sowieckiego.

Czy jest to więc — skoro Sowiety tyle prawić lubią o swych zasadach „demokratycznych“ — armja demokratyczna, czy nie? Już pierwszy rzut oka mówi nam, że pod tym względem nic się w Rosji nie zmieniło, że tam, gdzie w państwie są obywatele I i II kategorji, będzie musiało być zawsze i wojsko I i II, jeżeli nie większej ilości klas. Tak więc i w Rosji sowieckiej armja czerwona — duma czerwonej Rosji rewolucyjnej — odciążona w „czarnej robocie“ przez wojska kolejowe, pograniczne, konwojowe (jest tego ogółem przecież kilkadziesiąt tysięcy bagnetów), ma nad sobą bynajmniej nie demokratyczną i z pewnością z ogólnego punktu widzenia niepochlebną dla niej nadbudówkę w postaci t. zw. „wojsk specjalnego przeznaczenia“ — krótko:

oddziałów G. P. U. Jest to, jeśli chodzi o przedwojenne analogje, bynajmniej nawet nie gwardja, a więc grupa wojsk, uprzywilejowanych raczej tylko teoretycznie w stosunku do innych wojsk linjowych, jak to bywało w dawnej armji rosyjskiej, ale zupełnie coś innego: rodzaj żandarmerji, policji, czy „ochrony“ wojskowej — wojska, dobrane niezmiernie starannie przedewszystkiem pod względem personalnym (przekonania ultrakomunistyczne!), najświetniej uzbrojone, najlepiej wyekwipowane, doskonale żywione i wysoko opłacane. Ta armja „pretorjanów“, to słynne G. P. U., liczy 150 tysięcy bagnetów. Przy pomocy tej stalowej pięści rząd sowiecki panuje nad pilnie przez G. P. U. strzeżoną armją czerwoną, regularną i terytorjalną, nad wszystkiemi jej przybudówkami w postaci wojsk kolejowych, pogranicznych, czy konwojowych, nad policją, słowem — nad tem wszystkiem, co z kolei rzeczy trzyma w ryzach stukilkudziesięciomiljonową ludność państwa. Oto wymowny przykład zasad „ultrademokratycznego“ systemu!

Jak liczną w tem wszystkiem jest armja czerwona? Składa się ona w sumie z 30 dywizji piechoty, 10 dywizji i 7 samodzielnych brygad kawalerji, co daje ogółem 562 tysiące ludzi. Tę cyfrę warto zapamiętać: jest to cyfra, którą Sowiety wymieniają oficjalnie, na zewnątrz, jako wysokość swych sił zbrojnych. Byłaby to, w stosunku do stukilkudziesięciomiljonowej ludności Sowietów, cyfra istotnie stosunkowo nieznaczna. Wykazy sowieckie zapominają jednak stale dodać do tej cyfry inną, znacznie wyższą — 40 dywizji piechoty i 3 dywizji kawalerji wojsk terytorjalnych — wojsk w sumie 600 tysięcy ludzi, które bądź ćwiczą, bądź w każdej chwili mogą być powołane pod sztandary. Te „miłujące pokój“ źródła sowieckie zapominają też zawsze o owych odciążających armję czerwoną wojskach „komunikacyjnych“, czy „konwojowych“. Zapominają wreszcie zupełnie o 150-tysięcznej armji G. P. U.!

Dodajmy te wszystkie cyfry razem. Otrzymujemy,

lekko licząc, półtora miljona ludzi pod bronią. A nie zapominajmy, że nawet Rosja carska, owa niesłychana, nie mająca równej sobie na świecie potęga militarna, dawna Rosją z Finlandją, prowincjami bałtyckiemi, Polską i Besarabją, trzymała tylko miljon ludzi pod bronią. Dlaczego więc „pokojowa" Rosja sowiecka, mniejsza od dawnej, utrzymuje półtora razy liczniejszą armję? Dlaczego przedewszystkiem tak intensywnie szkoli swój materjał ludzki?

Na pierwsze z tych pytań moglibyśmy odpowiedzieć, iż może nie ufa w dostatecznej mierze swym czerwonym obywatelom. W zestawieniu jednak z drugiem pytaniem, musimy dać tylko jedną odpowiedź: ta olbrzymia armja, te niewyczerpane, tak gwałtownie szkolone rezerwy, potrzebne są Sowietom dla celów wyłącznie zaborczych, dla poparcia ich polityki zewnętrznej.

A teraz nieco cyfr drobniejszych, nieco suchych może uwag technicznych, niezbędnych jednak dla sprecyzowania, jak siła ta dzieli się wgłąb, jaka jest jej zdolność bojowa, czyli siła ognia — jak to mówimy potocznie — jaka wartość duchowa, wewnętrzna, która decyduje przecież zawsze w końcu o wszystkiem?

Wspomnieliśmy już, że Rosja sowiecka liczy, prócz kawalerji, 30 dywizji piechoty regularnej i 40 dywizji piechoty wojsk terytorjalnych. Skład dywizji w obu wypadkach jest jednakowy; każda liczy 3 pułki piechoty, 1 pułk artylerji polowej, 1 szwadron kawalerji, 1 kompanję saperów, pewną ilość oddziałów technicznych, sztab, oddział polityczny i t. p. Jednostka zaś podstawowa dla dywizji, czyli pułk piechoty, liczy: 3 bataljony strzelców z kompanjami ciężkich karabinów maszynowych, dywizjon artylerji pułkowej, pluton konnych wywiadowców, plutony łączności, saperów, pluton chemiczny, oddział specjalny (bardzo dla wojsk rosyjskich charakterystyczny), oddział zbierania porzuconej broni i amunicji, oddziały zdrowia, gospodarcze i t. p. Siła więc ognia takiego pułku, oprócz paru tysięcy karabinów ręcznych, wynosi 6 dział polowych,

3 działka lekkie, 3 miotacze min, 18 ciężkich i 55 lekkich karabinów maszynowych. Jest to więc siła potężna! Pomnóżmy to wszystko przez 3 (liczba pułków dywizji), dodajmy pułk artylerji dywizyjnej o 10 trzydziałowych bateriach — czyli dział polowych 30 — dodajmy szwadron kawalerji w ilości 120 szabel i kilku karabinów maszynowych, oraz resztę oddziałów technicznych, a zobaczymy, iż ta zupełnie nowocześnie prezentująca się dywizja piechoty, ta mała armja, licząca „tylko“ 60 dział, spełniać może każde specjalne zadanie i w sposób zupełnie samodzielny. A tych małych armji liczy piechota sowiecka 70. Zapamiętajmy tę cyfrę!

A kawalerja sowiecka? Jak wyglądają owe dywizje i brygady samodzielne kawalerji czerwonej, w ogólnej liczbie 20, gdzie każda dywizja liczy 2 do 3 brygad normalnych, po 2 pułki jazdy, każda brygada specjalna po 3 pułki, a więc jak wygląda — ogólnie biorąc — ta wielka armja konna o blisko stu pułkach?

Każdy pułk taki liczy w zasadzie do tysiąca karabinów i szabel, około 30 karabinów maszynowych; każda dywizja i brygada samodzielna posiada artylerję własną po 6 — 9 dział polowych, każdy korpus kawalerji (2 — 3 dywizje) własną broń pancerną, artylerję i lotnictwo. Jest to znów bardzo wysoko, technicznie biorąc, rozbudowana siła, a przecież wszystkie wytyczne i regulaminy tej broni w Rosji dążą do tego, by kawalerji czerwonej nie obciążyć zbytnio, by nie zniekształcić jej w założeniu, by nie odebrać jej cechy i wartości, najbardziej zasadniczej — ruchliwości, bez której kawalerja przestaje być sobą. Ruchliwość i szybkość działania w wielkich skupieniach i zdolność do wykonywania zadań specjalnych — oto hasła, wedle których pracuje kawalerja sowiecka.

Inspektorem tej broni jest od szeregu lat słynny, czy osławiony tylko, Budienny, znany nam dobrze z r. 1920. A przeciw komu skierowana będzie kawalerja czerwona na wypadek wojny, widzimy to dokładnie z jej dyzlokacji: na

Podolu (rejon Płoskirowa i Starokonstantynowa) stoją pierwsza i druga dywizja, czyli I korpus kawalerji, na Ukrainie (Humań, Berdyczów i Hajsyn) trzecia i dziewiąta dywizje, czyli korpus II — wszystko to pułki, wywodzące się z dawnej armji konnej Budiennego, który w r. 1920 zapędził się z nią aż pod Lwów i Zamość. Dalej ku północy, na Białej Rusi (rejon Mińsk, Homel, Mohylów), stoją oddziały III korpusu kawalerji, dawna kawalerja Gaja, który z pułkami swymi dotarł aż do Włocławka i Płocka... Jest to więc aż 7 wielkich jednostek (6 dywizji i 1 brygada samodzielna), najbardziej wypróbowanych, najpewniejszych oddziałów kawalerji czerwonej.

Nie chcemy tu znużyć, czy znudzić czytelnika, nie będziemy więc wyliczali jednostek saperskich, pontonowych, kolejowych, elektrotechnicznych i innych. Zaznaczamy tylko mimochodem, że we wszystkich tego typu oddziałach dąży się do nowoczesności, do doskonalenia i postępu. Przypomnijmy, jak to już mówiliśmy na innem miejscu w tem piśmie *), iż motoryzacja w wojsku sowieckiem robi olbrzymie postępy, że przedewszystkiem czerwone oddziały na naszem pograniczu właśnie mają być zmotoryzowane w pierwszym rzędzie. Raz jeszcze przypomnijmy także, iż półtoramiljonowa armja czerwona (na stopie pokojowej) może wyprowadzić w pole około 5 tysięcy dział polowych, nie licząc dział polowych kawalerji, nie licząc dział ciężkich i najcięższych; że nad armją tą poszybują w pierwszym dniu wojny liczne — liczniejsze od naszych — eskadry lotnicze, że na wodach sowieckich zadymią pióropusze liczniejszych, niż nasze, wojennych okrętów sowieckich.

Co znaczy to wszystko?

Czy armja ta będzie mogła działać w całości, w pewnym określonym kierunku? Czy nie będzie musiała podzielić się na cały szereg armji, rozstawionych w poszczególnych punktach pogranicza, może na przeciwległych krań-

---

*) Ob. l. c.

cach olbrzymiego imperjum? A może już w pierwszych dniach działań wojennych zmuszona będzie wydzielić znaczną część swych sił dla jakichś, nie dających się ściśle przewidzieć działań wewnątrz kraju? A jeślibyśmy nawet przypuścili, iż działać będzie cała w jednym tylko kierunku, to czy armja ta będzie miała zapewnione w należyty sposób warunki choćby tylko transportu? Czy wreszcie, gdy armja ta wyruszy w pole, ruszą też równie sprawnie uzupełnienia dalsze? Słowem, czy możemy wyobrazić sobie. choćby tylko w przybliżeniu, jaki przebieg mogłaby mieć zarządzona mobilizacja? Są to wszystko pytania, prowadzące nas w sferę niewiadomych. Nie usiłujemy ich też na razie rozwiązywać.

Jeżeli zastanowiliśmy się tutaj — bardzo pobieżnie i bardzo pokrótce — nad tem, czem jest dzisiaj armia czerwona Sowietów, to zastrzegamy się, że chcąc dać pozytywną tu odpowiedź, pojmujemy pytanie samo à la lettre: czem jest d z i ś armja czerwona? Odpowiedź bowiem co do jutra jest trudna, jeźli nie wręcz niemożliwa, nietylko w stosunku do Sowietów.

Reasumujemy: jest to w wysokim stopniu nowoczesna armja, zgórą miljonowa.

Jaki jest duch jej? I tu trudno stanowczo odpowiedzieć. Ducha armji poznajemy bowiem dopiero w czasie działań wojennych i, jak wiemy to z niedawnych przykładów, może on być zmienny, zależnie od stanu działań wojennych, od stanu aprowizacji, czy nawet od warunków atmosferycznych. Pewnem jest jedno: armja czerwona jest poniekąd źrenicą oka Sowietów, jest przedmiotem największych starań, najczulszej opieki, jest warstwą, najbardziej uprzywilejowaną ustroju czerwonego, grupą, najlepiej żywioną i najstaranniej zaopatrzoną. Armja ta, to zresztą — Rosja młoda, bojowa, najbardziej zapalona, najsilniej wierząca i zapewne swym hasłom, swemu kierownictwu najświadomiej oddana.

Wszystko to przemawia za tem, iż z naszego punktu

widzenia winniśmy się z armją czerwoną liczyć jak najpoważniej. Nie dlatego, żebyśmy ją mieli uważać za jakąś niezwyciężoną potęgę, ale musimy ją traktować przedewszystkiem jako awangardę czerwonego ustroju, wyzywającego świat do walki. W obserwacji, w najpilniejszem baczeniu na to, co się tam za wschodnią naszą granicą obecnie rozgrywa, musimy zachować krew absolutnie zimną. Pamiętajmy też o tem, że w obecnych czasach haseł „narodów pod bronią" nie możemy rozpatrywać zagadnienia armji w oderwaniu od całokształtu zagadnień ogólnych każdego państwa, a więc jego struktury gospodarczej, stopnia obywatelskiego uświadomienia i w o l i z w y c i ę s t w a.

I jeszcze jedno: każdy ustrój „militarny" (a więc ustrój sowiecki w pierwszej linji) pójdzie zawsze chętnie na łatwą, dającą tanie tryumfy awanturę wojenną. Będzie unikał zawsze i za wszelką cenę akcji w jakimś wielkim stylu, jakiejś prawdziwej próby ogniowej nietylko swego pogotowia zbrojnego, ale i swej wartości wewnętrznej, swej istoty — ustroju. Widzieliśmy Sowiety, tak łatwo dzwoniące szabelką w ekspedycji chińskiej „von Blüchera", buńczuczne wobec bezbronnych Chin; widzimy dziś Sowiety, spokojne i poprawne, zachowujące całkowitą rezerwę wobec Japonji, operującej w Mandżurji, a więc niemal w sferze bezpośredniego zainteresowania i działania Sowietów na dalekim wschodzie. Ale Japonja posiada świetną armję, a armję tę poprze w razie potrzeby cały ten naród, miłujący swój kraj nadewszystko!

Otóż wydaje nam się, iż niema w tej chwili plastyczniejszego — niż powyższy — przykładu na to, by zrozumieć, jaki ma być nasz stosunek do armji czerwonej i j a k i s t o s u n e k d o a r m j i w o g ó l e, jako do czynnika, gwarantującego bezpieczeństwo i pokój narodów.

Karol Koźmiński.

DYKTATURA PRODUKCJI.

Żyjemy w epoce dyktatur politycznych różnego rodzaju. Dyktatury te — ogółem biorąc — są organicznem następstwem bakructwa „burżuazyjnej demokracji“ wraz z idącą w jej historycznym ogonie „proletarjacką demokracją“. Obie te formy demokracji zaplątały się we własne doktryny, zabrnęły w absurda moralne i materjalne i zaczęły w ostatnich czasach pchać ludzkość w taką masową katastrofę, że instynkt samozachowawczy państw i społeczeństw nie widział na razie innego środka ratunku, jak starodawny paljatyw dyktatury.

I dlatego to właśnie nawet szerokie masy ludowe, pieniące się na widok najskromniejszej szlacheckiej korony, przyjęły jednak niemal wszędzie z widocznym entuzjazmem panowanie takiej czy innej dyktatury — czy to dyktatury militarnej, czy dyktatury jakiegoś osobistego autorytetu.

Ale wśród całego tego polityczno-ustrojowego kryzysu, którego przyczyny i skutki każdy już jasno określić potrafi, zapanował równocześnie i drugi kryzys — gospodarczy. A chociaż skutki tego kryzysu niemniej jasno i wyraźnie każdemu są widoczne, a w dodatku biją każdego najgwałtowniej po kieszeni, to jednak dotąd właściwej przyczyny kryzysu gospodarczego — o ile mi wiadomo — nikt jeszcze nie określił, a przynajmniej nie miał odwagi jej ujawnić.

Rzecz to wielce symptomatyczna i ciekawa. Bo przecież żaden problem w ciągu ostatnich lat dziesięciu nie doczekał się ani w przybliżeniu tak obfitej i wszechstronnej literatury, tylu konferencji i takiej powodzi artykułów prasowych, jak właśnie kryzys gospodarczy w odniesieniu czy to do poszczególnych państw, czy do świata całego. Naj-

tęższe mózgi ekonomistów, mężów stanu i ludzi praktycznego życia gospodarczego wysilały się i wysilają dotąd na wszelkie możliwe i niemożliwe koncepcje, aby ująć to rujnujące zjawisko i jakoś mu zaradzić. Jak dotąd bez pozytywnego rezultatu. A raczej przeciwnie, z coraz gorszym rezultatem . . .

Chwieją się bowiem i zapadają w gruzy, jedna po drugiej, wszelakie pomysły, sposoby i instytucje ratunkowe. Chwieją się waluty i budżety. Nawet potężne — zdawałoby się — porozumienia i urządzenia międzynarodowe bankrutują, wykazując aż nadto wymownie swą bezsilność. Rozpaczliwy, coraz wyższy mur celny otaczać zaczyna wrogie sobie pod tym względem państwa, w których tak niedawno jeszcze rozbrzmiewało braterskie hasło „współzależności gospodarczej“. W każdem zaś państwie stają naprzeciw siebie dwie zupełnie wyraźne kategorje (jeszcze nie stronnictwa!) obywateli: zatrudnionych i bezrobotnych. Ilość tych ostatnich rośnie gdzieniegdzie z zawrotnym rozpędem, a z nią razem utrwala się prawo pisane czy niepisane o zasadniczym obowiązku państwa utrzymywania tych rzesz, z musu nieproduktywnych, kostem bezpośrednio skarbu, a więc pośrednio kosztem jeszcze produkującej i zarabiającej (coraz mniej) kategorji obywateli.

Jeżeli stosunki się nie zmienią, a wymieniony obowiązek państwa coraz bardziej się utrwali, to niezadługo ilość bezrobotnych zacznie chyba przeważać nad ilością produkujących i zarazem płacących na rzecz funduszów bezrobocia. A wówczas nastąpi oczywiście załamanie nietylko gospodarcze, ale i cywilizacyjne, o niedających się nawet przewidzieć następstwach socjalno-politycznych.

Taki jest stan rzeczy i przeciętny kierunek obecnej równi pochyłej, po której się stacza świat cywilizowany i półcywilizowany. A nadciągającej burzy, groźniejszej w rozmiarach i rezultatach od wojny światowej i dzisiejszego bolszewizmu, razem wziętych, przeciwstawiają rządy wyłącznie tylko „karetki pogotowia kredytowego“ (a ra-

czej pogotowia subwencyjnego, bo w zwrot sum kredytowanych nikt już chyba dzisiaj nie wierzy), a uczeni ekonomiści, sfery finansowe i wszelakie sfery producentów tylko powódz frazesów, formułek i łamańców djalektycznych, z których praktycznie jeden sens tylko wynika: rapiamus, capiamus et après cela le déluge!

Nikt zaś — powtarzamy z naciskiem — nie umiał dotąd, czy nie miał odwagi, uchwycić i ujawnić samego sedna obecnej, chronicznej i na razie beznadziejnej katastrofy gospodarczej.

Spróbujmy to uczynić. Ale — przyznaję — równa się to właściwie spaleniu mostów za sobą, gdyż ujawniając właściwą, najgłębszą istotę kryzysu gospodarczego, trzeba z konieczności uderzyć w t. zw. system ustabilizowany nowoczesnej, postępowejj gospodarki, we wszelkie, związane z nią „najżywotniejsze“ interesy nowoczesnych sfer gospodarczych oraz w pojęcia, jakie rozwinęły się w tym zakresie w ciągu XIX-go i XX-go wieku, zapuszczając na całej kuli ziemskiej głębokie, trudne do wyrwania korzenie.

Co to jest „system ustabilizowany“?

Wybitny pisarz francuski, François Délaisi, twierdzi słusznie, na podstawie długiego szeregu doświadczeń dziejowych, że w każdem społeczeństwie w danym okresie wytwarza się i utrwala głęboko — poza zmiennemi konjunkturami politycznemi czy ustrojowemi — pewien fundamentalny podkład najżywotniejszych interesów warstw panujących, który nadaje charakter i kierunek historji danego społeczeństwa w danym czasie. Jest to tak zwany „système établi“ — system czy porządek rzeczy, na którym egzystencja i wpływ warstw panujących integralnie się opiera.

Dlatego państwa czy społeczeństwa dalego łatwiej przebaczają wszelakie zakusy na wszystko inne, co je w danych momentach cechuje, darują raczej wszelkie zbrodnie, bunty, zamachy stanu i wrogie akty wojenne — ale biada temu, którPby targnął się na ów porządek „ustabilizowany“!

Przykład: Porządkiem ustabilizowanym, a więc identycznym z najżywotniejszym interesem danej warstwy panującej, były w dawnej republice Weneckiej rządy i zyski handlowe pewnej warstwy arystokracji kupieckiej. Kto w ten system polityczno-ekonomiczny chciał ugodzić, ten szedł pod miecz bez pardonu (doża Marino Falieri).

I podobnych przykładów możnaby cytować bez liku z podręcznikiem historji w ręku.

Dzieje nowoczesne, poczynając od końca XVIII-go wieku, aż po dzień dzisiejszy, przynoszą nam to samo zjawisko „systemu ustabilizowanego" i to w monstrualnie wyolbrzymionej i najbezwzględniejszej, pozbawionej wszelkiej etyki postaci. Aby je z pod grubej powłoki skomplikowanych frazesów ekonomiczno-politycznych na światło dzienne wydobyć, trzeba tylko uchwycić właściwy koniec sznura. A jest nim wielce charakterystyczna tendencja sfer gospodarczych w kierunku interwencjonizmu państwowego dla ratowania ich warsztatów pracy. Pozorny paradoks — skoro żądają tego właśnie sfery finansowe, przemysłowe, handlowe i rolnicze (ale przedewszystkiem przemysłowe), które przecież najgwałtowniej zwalczają wszelkie nowoczesne tendencje etatystyczne państwa! Wszak niema prawie dnia, żebyśmy nie czytali lub słyszeli nowego wypadku ze strony jakiegoś „wybitnego przedstawiciela sfer gospodarczych" przeciw etatystycznym — prawdziwym czy rzekomym — zamiarom rządu.

A jednak, mimo to, wołanie o interwencję, nawet i dyktatorską interwencję państwa . . . !

Wyjaśnienie nie jest trudnem, pod warunkiem, że odsuniemy na bok wszelkie stosunkowo drugorzędne lub dodatkowe przyczyny i przejawy kryzysu gospodarczego, a pociągniemy za ów sznur, w głąb rzeczy sięgający, zdecydowaną ręką. Cóż wówczas się wyłoni? Oto z głębi XVIII-go wieku wyłoni się owo słynne hasło „rozwoju gospodarczego" — najważniejsza podstawa pseudoideowa burżuazji de-

mokratycznej, ów generalny drogowskaz do złotego cielca, na który nastawiła wszystkie cywilizowane społeczeństwa zmaterjalizowana, racjonalistyczna, burżuazyjna demokracja.

Rozwój gospodarczy — ów łechcący fantom złota i powszechnego, coraz większego dobrobytu, niesiony na skrzydłach drugiego, pomocniczego hasła: postępu, ale postępu w kierunku wyłącznie materjalistycznym i technicznym, z zupełnem, albo prawie zupełnem usunięciem na bok wszelkich dążeń i pierwiastków wyższego rzędu. Enrichissez-vous! — oto naczelne programowe hasło burżuazyjno-demokratycznego okresu, który jeszcze nie minął, a dopiero kruszyć się zaczyna hipertrofją swego brutalnego materjalizmu i absurdu, spłodziwszy przeciw sobie prawem reakcji bunt proletarjatu, walkę klas i doktrynę bolszewicką.

Na razie jednak w zachodnich społeczeństwach, a stąd i na świecie całym, prąd ten jeszcze panuje, przybrawszy pięknie brzmiące miana: patrjotyzmu gospodarczego, wyścigu pracy, gospodarki „mocarstwowej“ i t. p. — nadewszystko zaś „ekonomicznego postępu“, w gruncie rzeczy brutalnej, bezkrytycznej pogoni za złotem i materjalnem użyciem, bez granic, celu i końca.

Tego nauczyły nas francuski racjonalizm i wielka rewolucja, tego następnie wszelkie „postępowe“ programy, ustroje i idee XIX-go wieku, to wpajano — wśród różnych pięknych obsłonek — od stukilkudziesięciu lat w mózgi najszerszych mas pod hasłem „podniesienia“ chłopa i „uświadomienia“ robotnika.

Taniec dokoła złotego cielca w pełnem i dosłownem tego wyrazu znaczeniu!

Aż wreszcie nadszedł okres wyraźnej hipertrofji tego „ustabilizowanego“ przez burżuazyjne sfery gospodarcze systemu i miara się przebrała. Rozbudowano w ostatnich dziesięcioleciach tak olbrzymi, tak udoskonalony, tak zawrotnie płodny aparat produkcyjny, że po czteroletnim, złotym dla niego wieku wojny światowej, pochłaniającej

w celach destrukcyjnych ową nadmierną produkcję, społeczeństwa wreszcie okazały się za słabe, aby ją dalej w siebie chłonąć i dalej konsumcją swą ów propagowany przez zainteresowane sfery postęp i rozwój gospodarczy podtrzymywać. I to nawet najbogatsze społeczeństwa, nie mówiąc już o mniej zamożnych. A równocześnie różne egzotyczne kraje, stanowiące do niedawna wygodną klapę bezpieczeństwa dla eksportu tej monstrualnej hipertrofji produkcji, zarażone hasłem „rozwoju gospodarczego“, zaczęły pokrywać się fabrykami i uniezależniać się od dawnych centrów produkcji, podcinając im rynki zbytu.

Rozmach i postęp gospodarczy państw, opartych na owym „ustabilizowanym“ przez gorączkę złota systemie, na owem naczelnem haśle wielkiej produkcji i finansjery: enrichissez-vous, znalazły się nagle w srogich opałach, poprostu nad brzegiem ruiny. Bo jak tu utrzymać ustabilizowany system gospodarczego rozmachu, kiedy niema odpowiedniego zbytu? Coś niecoś pomogła szalona reklama, ale oczywiście tylko w ograniczonym stopniu. Dzisiaj już i reklama nie starczy, bo popyt, nawet najforsowniej podniecany i wszelkimi sposobami ułatwiany, nie jest w stanie nadążyć absurdalnie rozrośniętej produkcji - podaży. L u d z i e p o p r o s t u n i e p o t r z e b u j ą t a k m a s o w e j p r o d u k c j i i n i e m a j ą n a j e j z a k u p i e n i e p i e n i ę d z y.

Olbrzymi rozmach wytwórczy, dopingowany jeszcze w ostatnich dwudziestu latach najprzemyślniejszą maszynizacją i „racjonalizacją“ metod pracy, znalazł się wobec — próżni. I to w dodatku jeszcze wobec próżni, pogłębionej zniszczeniem wojennem i powojennem olbrzymiego dorobku kapitału.

Zdawałoby się — według zasad prostej, kupieckiej logiki — że w takiej sytuacji sfery gospodarcze przyznają się otwarcie do bankructwa swego dotychczasowego rozpędu, zredukują w rozumny sposób swe pretensje i metody i cofnąwszy się nieco wstecz, stworzą sobie przez to właśnie

korzystne warunki do powtórnego, ale tym razem rozsądniejszego, bo doświadczeniem zahartowanego rozwoju. Wszak jasnem jest, że nie podaż (produkcja) może rządzić popytem (zapotrzebowaniem), ale odwrotnie. Ludzie kupować mogą tyle tylko, ile im potrzeba i na co ich stać w danej chwili, a rozumny producent musi swą podaż do tego zapotrzebowania dostosować; inaczej grozi mu, że razem ze swym nadprodukcyjnym rozmachem, ze swą nadmiernie rozbudowaną i wydoskonaloną fabryką, ze swymi tysiącami robotników, z zapasami towaru i z niewypłacalnemi zobowiązaniami, stanie wreszcie wobec bankructwa. Tak to jasne, tak proste i bezsporne, że nie wymaga chyba uczonych dygresji ekonomicznych o rewaloryzacji złota i innych, tym podobnych odkryć, które wprawdzie bardzo są przemyślne, ale w niczem jakoś wzmagającego się kryzysu dotąd nie złagodziły!

Ale przyznać się do tego i zatrąbić na odwrót, znaczyłoby to dla sfer gospodarczych, zwłaszcza dla wielkiej finansjery, wyrzeczenie się swego do niedawna „najżywotniejszego interesu", swego tak starannie przez półtora wieku wykształconego i wymurowanego „ustabilizowanego systemu". Znaczyłoby to zasadnicze odchylenie od torów, wiodących do złotego cielca i bądź co bądź pewną kapitulację wobec różnych innych potrzeb ludzkości. A na taką spowiedź publiczną, na takie uderzenie się w piersi, na taki „zamach stanu" na swój ulubiony system ustabilizowany burżuazja gospodarcza XX-go wieku zdobyć się nie może — choć jasnem jest zapewne i dla niej, że w tem leży jedyny, choćby znacznemi ofiarami okupiony ratunek.

Dlatego sfery gospodarcze nietylko nie zawracają z drogi „rozwoju ekonomicznego" i swych nadmiernych

pretensji produkcyjnych i zarobkowych, nawet w obliczu już dobrze zapoczątkowanej ruiny, ale wprost przeciwnie — wmawiają dalej w społeczeństwo „szczytne“ hasła patrjotyzmu gospodarczego i rzuciły się na drogę sztucznego podtrzymania produkcji i podaży za wszelką cenę, *nawet przy pomocy państwowego nacisku i przymusu na konsumenta.*

Stąd owa tendencja sfer gospodarczych do interwencjonizmu państwowego, chociaż on — w naturalnej konsekwencji — musi dawną swobodę producenta i kupca w coraz cięższe zakuwać kajdany. Ale sfery gospodarcze wolą widocznie dźwigać te kajdany, wolą poddać się w coraz cięższą niewolę etatyzmu, potem państwowego kapitalizmu (jak w bolszewji), wolą nawet w mnożących się z zastraszającą szybkością poszczególnych wypadkach indywidualnie bankrutować, niż przyznać się do faktycznej hipertrofji produkcyjnego rozmachu, poprowadzić, póki czas jeszcze, według stawu groblę, dostosować rozumnie podaż do możliwości popytu i zdezawuować tem samem swój ulubiony, z dziada, pradziada przejęty „system ustabilizowany“!

Stąd stwierdzić możemy, że najgłębsza istota obecnej katastrofy gospodarczej polega na ustabilizowaniu przez zwyrodniałą produkcję podaży jako sztucznego miernika rozwoju gospodarczego i na forsownem, przeciwnem naturze dociąganiu do jej rozmiarów popytu, który w danych warunkach nie jest w stanie tej dziwnej pretensji zadość uczynić.

Aby to zrealizować, nie wystarczą dawne, dobre kupieckie sposoby reklamy i ułatwień wszelkiego rodzaju, więc producenci zwracają się do państwa. A zwracają się do niego z podwójnem żądaniem: pomocy kredytowej i zmuszenia konsumenta, który nie jest w stanie zakupić ich pro-

dukcji, do świadczeń inną drogą na rzecz podtrzymania za wszelką cenę ich warsztatów. Wmawiają więc w rządy państwa, że dzisiaj w najżywotniejszym jego interesie leży niedopuszczanie do upadku nadmiernie rozrośniętych i zupełnie już nieżyciowych przedsiębiorstw, produkujących nieraz tandetę, egzystujących więc nie solidną jakością produkcji, ale wyolbrzymioną ponad wszelkie granice zbytu tandetną ilością. Malują czynnikom miarodajnym w państwie przed oczyma rzekome straszliwe skutki upadku czy redukcji takich przedsiębiorstw, grożąc zaostrzeniem kwestji socjalnej, na którą rządy nowoczesne specjalnie są czułe.

Topią się więc miljonowe, czy nawet miljardowe sumy kredytowe na podtrzymanie żywych trupów, co wprawdzie nie będzie w stanie uchronić ich od śmierci — bo co na nią skazane, to i tak zginąć musi — ale chwilowo podtrzymuje je w stanie nędznej wegetacji, rujnując zato jeszcze bardziej konsumenta i osłabiając tem samem jego już i tak wielce osłabioną siłę nabywczą. Państwu zaś podcina taka bezkrytyczna polityka możność zasilania funduszem czy kredytem innych, daleko żywotniejszych celów.

Ponieważ ten system topienia olbrzymich sum kredytowych w tej prawdziwej beczce bez dna, przy równoczesnem osłabianiu podatkami na ten cel społeczeństwa, oczywiście nie wystarcza i setki tysięcy czy miljony bezrobotnych, wyrzuconych na bruk przez „system ustabilizowany“, domagają się chleba, więc państwo podwójnie obciąża konsumenta, aby z jego kieszeni, drogą przez skarb państwa, opłacać te rzesze bezrobotnych.

Powstaje więc błędne koło, w którem dyktaturę bezwzględną, bezkrytyczną i dla wszystkich samobójczą, dzierży produkcja: obywatel ma podciągnąć swe zapotrzebowanie i swą siłę nabywczą do brutalnie zachłannych pre-

tensji produkcji, a jeżeli nie jest w stanie temu nadążyć, jeżeli nie potrzebuje i nie może zakupić wyprodukowanego towaru, to musi drogą podatków i innych świadczeń podtrzymywać nieżywotne przedsiębiorstwa i wydalane z nich coraz większe masy bezrobotnych!

Wchodzimy w pełnię dyktatury produkcji, która przy pomocy żandarma interwencjonizmu chce podtrzymać przy życiu system ustabilizowany burżuazji gospodarczej, której głównym celem jest bogacenie się bez granic i końca. A do swego rydwanu wprzęgła ta burżuazja gospodarcza nietylko państwo, jako coraz posłuszniejsze narzędzie swego przymusu, ale i ekonomistów wszelakiego typu, którzy, zaślepieni również mirażem złotego cielca — wbijają społeczeństwu w mózgi, że najwyższym jego ziemskim celem jest bogacenie się, choćby... w kajdanach etatyzmu, czy nawet kolektywizmu.

Oto istota sprawy. Wszystko inne, to tylko kwestje uboczne, szczegóły lub następstwa. Można dużo o nich pisać i rezonować, można odwracać zręcznie uwagę rządów, inteligencji i proletarjatu na inne, uboczne strony zagadnienia, polityczne czy społeczne — nic to nie zmieni ani sedna złego, ani prawdy. I dlatego pozwalamy sobie stwierdzić, że dopóki ten bezduszny, skrajnie egoistyczny, grubo materjalistyczny „system ustabilizowany" pożądań i interesów demokratycznej burżuazji gospodarczej, która — między innemi — rozpętała i militarnie wygrała wojnę światową, na świecie panuje i dyktaturę swą nad rządami państw i dorobkiem społeczeństw dzierży, tak długo mowy być nie może o zwalczeniu wzmagającego się kryzysu, ani też o skutecznem przeciwstawieniu się doktrynie Marksa; bo życie gospodarcze w tej formie, do jakiej obecnie wybujało pod panowaniem ideologji racjonalistyczno-burżuazyjnej, staje się już nie dobrodziejstwem, ale wysysającym społeczeństwa pasorzytem,

a z drugiej strony, w miarę wzrostu tego pasorzyta, wzmagać się musi też jego organiczna antyteza: socjalizm i komunizm. I dlatego specyficzna psychika sfer gospodarczych zachodu, oparta na zachłannym materjaliźmie, nie będzie nigdy w stanie ani kryzysu na serjo przezwyciężyć, ani oprzeć się naporowi niwelującej idei komunizmu.

Aby więc znaleźć jakąkolwiek racjonalną drogę wyjścia z kryzysu i równocześnie przeciwstawić się skutecznie zalewowi marksowskiej doktryny, trzeba uderzyć z odwagą i mocą w tę dyktaturę produkcji, w ten system ustabilizowany „najżywotniejszych interesów", czyli poprostu nadmiernych pretensji wypaczonego świata gospodarczego.

Muszę w tem miejscu zwrócić uwagę czytelnika na znakomity artykuł p. Adolfa Kliszewicza p. t. „Duchowe podstawy niebezpieczeństwa bolszewickiego", zamieszczony w poprzednim (listopadowym) tomie tego pisma. Jest to jedno z najpiękniejszych i zarazem najtrafniejszych ujęć syntetycznych stosunku bolszewizmu do zmaterjalizowanej burżuazyjno-gospodarczej doktryny i mentalności zachodu, jakie dotąd czytałem wśród olbrzymiej już zresztą literatury w tym zakresie. Oto dwa najważniejsze ustępy tego artykułu, uzasadnione oczywiście poprzednio całym szeregiem przytoczonych faktów i wywodów:

„Rozhukana ludzkość XIX-go wieku, której się zdawało, że wyzwoliła się raz na zawsze z pęt teologicznego ujęcia życia... ważyła się uczynić z kultu złota wyraźną zasadę życia... ważyła się cynicznie i otwarcie postawić materję nad duchem, ilość nad jakością, a w rezultacie materję nad człowiekiem samym, któremu przecież ta materja winna służyć... (Ideologja ta) doprowadza konsekwentnie do tego, że człowieka zaczyna się traktować jako narzędzie produkcji i mięso armatnie, że z subjektu staje się on objektem, produkcja natomiast

staje się celem samym w sobie, bogiem niejako, przy zupełnem zatraceniu zrozumienia dla rzeczywistych jej celów, jako środka zaspokojenia potrzeb ogólnoludzkich".

„Istnieje... olbrzymie prawdopodobieństwo, że wielka finansjera i wielki przemysł poszczególnych państw popchną w odpowiednim czasie świat do nowej wojny, by w potokach krwi, poprzez nowe hekatomby ofiar, ratować swą zachwianą władzę". „...państwo współczesne jest ściśle związane z istniejącą organizacją produkcji, bo na niej opierają się jego budżety, jego siła zbrojna, jego władztwo wogóle; dlatego też, chcąc niechcąc, musi państwo iść obecnie na pasku tych, w ręku których spoczywa ta organizacja".

„A organizacja produkcji w naszych czasach nie jest żadną miarą wyrazem uznania i dostosowania się do praw ogólnych, praw Boskich, jest ona raczej wyraźnem zaprzeczeniem tych praw, bo w ramach tej organizacji, przy szalonym rozwoju techniki i nadmiarze wszelkich produktów, miljony bezrobotnych skazane są obecnie na nędzę, głód i poniewierkę. Państwo współczesne zmuszone jest akceptować to wszystko ze względu na swój własny byt, to też w oczach tych miljonów ani ono samo, ani organizacja produkcji, nie są wyrazem praw ogólnych, nie są czemś swojskiem, bliskiem, a raczej obcem, wrogiem; i dlatego też masy te, jak już zaznaczyliśmy poprzednio, stają się coraz więcej materjałem, który łatwo może się stoczyć po równi pochyłej w otchłań rewolucji społecznej".

Jasno i wyraźnie! Komentarze zbyteczne. Podpisujemy całkowicie te zapatrywania, które tak lapidarnie potwierdzają naszą tezę o panującej dyktaturze produkcji i docierają wraz z nami do właściwej istoty i źródła obecnego kryzysu.

Produkcja jest obecnie celem samym w sobie — twierdzimy za autorem. I to

celem, który podporządkowuje sobie brutalnie i bezwzględnie wszystko: państwo, wszelkie warstwy społeczne i wszelkie wyższe pojęcia moralne. Fabryka i sklep i bank muszą istnieć, choćby żadnych nie dawały korzyści, choćby miały być pasorzytem, utrzymywanym z coraz większym wysiłkiem, z coraz większą niewolą, przez zbiedzone społeczeństwo. A jeśli to zbiedzone społeczeństwo nie chce na nie łożyć w formie zakupu towaru, to posłuszne rozkazom produkcji państwo występuje z żandarmskim przymusem i drogą świadczeń podatkowych zmuszą je do kredytowania produkcji i finansowania tych robotników, których „egoistyczny szał nadprodukcji" na bruk wyrzuca.

Jest to więc pełnia dyktatury, zabarwiona dźwięcznym frazesem „rozwoju życia gospodarczego". Świat daje się brać na ten frazes i łamie sobie głowę i wypróżnia sobie do reszty kieszenie, aby tej fikcji „gospodarczego postępu" ponad możność zadość uczynić. Fikcja! Bo nie chodzi tu wcale o żaden prawdziwy, pożyteczny dla ogółu postęp czy rozwój, ale o materjalne interesy prywatne pewnych grup czy jednostek.

— Wielkie przedsiębiorstwa nie mogą dzisiaj ginąć, gdyż pociągnęłoby to za sobą katastrofę państwa! — twierdzą wielkim głosem sfery gospodarcze. I wszystko temu wierzy i płaci i cierpi nędzę i pogrąża się w kryzys bez wyjścia. Otrzeźwijmy się z tej narkozy! Dlaczego zbędne przedsiębiorstwa muszą istnieć? Dlaczego wszystko ma się rujnować na rzecz rozwydrzonych pretensji produkcji i podaży? Jeśli tak, to istotnie niewiele brakuje do tego, aby państwo, teroryzowane przez produkcję, wydało ustawy, zmuszające obywateli do zakupywania w sklepach i fabrykach tego, czego wcale nie potrzebują i na co ich nie stać! Uzasadni się to przecież łatwo „patrjotyzmem gospodarczym"!!!

Proszę się tylko spokojnie zastanowić: Co jest więk-

szą dla państwa i społeczeństwa katastrofą — czy bankructwo lub redukcja kilku czy nawet kilkudziesięciu zbędnych przedsiębiorstw, czy też kompletne wyczerpanie państwa i społeczeństwa na podtrzymanie tych przedsiębiorstw, które w następstwie przecież i tak muszą zbankrutować? Odpowiedź na to pytanie wskaże zarazem początek drogi albo do ogólnej ruiny i bolszewizacji stosunków, albo do stopniowego wyjścia z kryzysu.

Podobny stan rzeczy, podobne pretensje, spotykamy i w handlu i tam nawet w formie, specjalnie wyostrzonej i czułej. Na podstawie wszystkich głosów, skarg i tendencji naszych sfer handlowych (a oczywiście także i w innych krajach) stwierdzić można, że handel chce być także celem samym w sobie. Wszak występuje jak najenergiczniej przeciw wszelkiemu bezpośredniemu kontaktowi między producentem a konsumentem, chociaż organizacja detalicznego zbytu ze strony produkcji, która rozpowszechnia się coraz bardziej w nowszych czasach, jest — pomijając drugorzędne szczegóły — wywołana właśnie zbędnością pośrednictwa w wielu wypadkach, które podraża tylko niepotrzebnie i nadmiernie ceny towaru.

Handel ma o tyle tylko rację bytu, o ile istotnie jest potrzebny, o ile istotnie przynosi ułatwienie. Ale musi liczyć się z tem, że w miarę rozwoju organizacji zbytu przez samych producentów — czego im przecież zabronić niepodobna — musi redukować się do prawdziwie niezbędnego zakresu działania i nie może podnosić pretensji, aby państwo i społeczeństwo utrzymywały go wszelkimi środkami i wszelkiemi ofiarami jako jakieś nietykalne tabu, jako istotnie „cel sam w sobie“. Gdzie sklep i handel potrzebny, tam niech istnieje i tam też, mimo różnych trudności, ostatecznie sam się utrzyma. Wszelki zaś nadmiar handlu i pośrednictwa wogóle musi w nieuchronnej konsekwencji żywotnej części handlu tylko zaszkodzić i stać się pasorzytem na gospodarstwie krajowem.

Tak mówią zdrowy rozsądek i logika. Ale tak nie myślą jeszcze sfery handlowe. Przeciwnie, wykazują niezmierną obraźliwość w każdym wypadku, choćby tylko lekkiego poruszenia tej kwestji. I wogóle sfery gospodarcze nie lubią zdrowej, wgłąb sięgającej krytyki, którаby mogła wskazać im nieraz drogę racjonalnego wybrnięcia z trudności. One wolą notorycznie pochlebstwo i wylewanie łez nad ich niedolą, nad niepoczciwością rządu i konsumenta. Wolą pozornie uchodzić za ofiary panującego takiego czy innego reżimu, chociaż w rzeczywistości posługują się nim dla wykonywania nad społeczeństwem dyktatury — aniżeli rozpocząć wyjście z kryzysu od niezbędnego rachunku sumienia.

Zerwijmy raz wreszcie pęta absurdu i wyjdźmy raz z błędnego koła! Produkcja ma służyć istotnym potrzebom i istotnej zdolności nabywczej społeczeństwa. Podaż ma stosować się rozumnie i zawczasu do popytu — a nie naodwrót. „Życie gospodarcze" nie może być żadną miarą celem samym w sobie, nie może być pasorzytem, ani pożerającym wszystko Molochem, a p a ń s t w o n i e m o ż e b y ć ż a n d a r m e m n a r o z k a z y p r y w a t n y c h i n t e r e s ó w i z a c h ł a n n y c h p r e t e n s j i p r o d u k c j i. Inaczej pretensje te pochłoną wszystko wraz z państwem i wszelkim ładem społecznym. Bo katastrofa nadmiaru życia gospodarczego i tak nastąpić musi w nieuchronnej konsekwencji, a jeżeli życie to forsowanem będzie w sztucznem rozdęciu aż nad brzeg przepaści, to musi nastąpić gwałtowny jego upadek i katastrofa najkrwawszego bolszewizmu.

Dlatego pierwszym warunkiem jakiegokolwiek racjonalnego zapoczątkowania zdrowej reformy stosunków musi być stanowcze obalenie pojęć,

1) że celem ludzkich dążeń na ziemi, jak to twierdzi oficjalna ekonomja, jest osiągnięcie możliwie największego materjalnego dobrobytu,

2) że życie gospodarcze jest czemś samem w sobie,

co społeczeństwo winno podtrzymywać i ratować za wszelką cenę.

Natomiast trzeba sobie uświadomić, że bankier, przemysłowiec i kupiec są naprawdę tylko czynnikami zaspakajania pewnych materjalnych potrzeb społeczeństwa i to w takim tylko rozmiarze, jakiego społeczeństwo to istotnie wymaga w każdym danym okresie. Każde zaś przedsiębiorstwo deficytowe i nieżywotne należy logicznie i konsekwentnie pozostawić swemu losowi i ani jeden grosz z funduszów publicznych nie powinien marnować się na daremne galwanizowanie takich trupów. Nie powinien marnować się na to tembardziej, że sprowadza to tylko demoralizację sfer gospodarczych, tak dalece, że zamiast iść w awangardzie, jak to być powinno, przeciw doktrynom społecznej niewoli i wywrotu, sfery te ułatwiają im zwycięstwo, szerząc hasła interwencjonizmu państwowego ze szkodą dla finansów państwa i dla przeciętnego choćby tylko dobrobytu obywateli.

Ogólna polityka gospodarcza w Polsce powinna iść w danych warunkach bezwzględnie w kierunku bardzo znacznej redukcji ilościowej wszelakich warsztatów produkcji, a natomiast jak największego jakościowego ich podniesienia i zarazem w kierunku wzrostu rzemiosł, w których wówczas znajdą stopniowo ujście i lepsze warunki bytu mnożące się rzesze robotników fabrycznych, wyrzucanych na bruk przez „wyimaginowany postęp", jak go słusznie nazywa autor wyżej wspomnianego artykułu. A przytem podniesie się też bezwarunkowo i moralny poziom społeczeństwa i przeciętna suma wewnętrznego w niem zadowolenia. A to przecież najważniejsze.

Trzeba raz zrozumieć całą głębię absurdu i niebezpieczeństwa tego tańca dokoła złotego cielca, w jaki nas wprawił zachłanny materjalizm burżuazji gospodarczej w reżimie demokratycznym, a wówczas drogowskazy wyjścia z impasu i kryzysu i groźby bolszewizmu same nam

się przed oczyma odsłonią. Niech przez kraj cały pójdzie zdrowy, wyzwoleńczy odzew:

Precz z dyktaturą produkcji! Pieniądz i życie gospodarcze mają nam służyć, a nie my im! Gospodarstwo krajowe nie jest i nie może być nigdy celem samym w sobie, ale jedynie tylko środkiem zaspakajania prawdziwych potrzeb materjalnych społeczeństwa — i nic ponadto. Produkcja i podaż muszą dostosować się ściśle do granic popytu w każdym okresie, gdyż tylko popyt, czyli zapotrzebowanie i zdolność płatnicza społeczeństwa w każdej danej chwili, są jedynie racjonalnym miernikiem i wytyczną rozmiaru produkcji.

I od ustalenia tej zasady i wdrożenia jej konsekwentnego w polityce państwowej i w polityce wszystkich sfer gospodarczych, a z odrzuceniem na bok wszelkich nadmiernych pretensji produkcji i handlu i wszelkich sztucznych, przymusowych koncepcji galwanizowania nieżywotnego nadmiaru życia gospodarczego — rozpocząć się może na serjo skuteczna walka z kryzysem.

Wszystko inne nietylko położenia nie poprawi, ale musi je tylko pogorszyć.

Tak przedstawia się sprawa wogóle — ze światowego punktu widzenia. A w Polsce?

Do Polski trzeba oczywiście mniejwięcej to samo zastosować, aczkolwiek w łagodniejszym nieco stopniu, gdyż u nas wszystko odbywa się łagodniej i słabiej, niż w reszcie świata. Dyktatura produkcji także więc i u nas panuje — jeżeli mamy uczciwą i szczerą postawić djagnozę — ale nie tak ostra, jak gdzieindziej, nie tak dalece świadoma swych celów. Bo nasz aparat gospodarczy jest stosunkowo ekstensywny i biedny. Wahałbym się więc stanowczo twierdzić, że w Polsce dyktatura produkcji przeważa nad oddziaływaniem niezależnego od niej kryzysu.

Niemniej jednak zasada pozostaje ta sama, choć w znacznie zmniejszonej skali.

Tyle co do djagnozy. A jakież środki zaradcze, jakaż praktyczna dyrektywa wyjścia z kryzysu? Bo gdy się mówi o własnej ojczyźnie, to nie wystarcza wykazać jej błędy, ale narzuca się obowiązek nakreślenia równocześnie, choćby w ogólnym zarysie, pozytywnej recepty.

Polskie sfery gospodarcze, które uległy oczywiście także w pewnym stopniu powszechnej psychozie hipertrofji produkcji i „ekonomicznego postępu za każdą cenę“, muszą sobie zdać jaśniej, niż dotąd, sprawę z okoliczności, że dzisiejszy polski rynek powstał nagle z trzech skrawków wielkich rynków zaborczych, gdzie przedwojenne nasze gospodarstwo narodowe miało wielkie pola zbytu, nie mówiąc już o różnych dalszych rynkach eksportowych, wówczas jeszcze wolnych i bardzo pojemnych. Obecnie te trzy skrawki gospodarcze znalazły się w granicach politycznych i ekonomicznych stosunkowo niewielkiego państwa, otoczonego wrogimi zasiekami z celnych drutów kolczastych, a owe dalsze rynki zbytu zamknęły się również, albo conajmniej skurczyły, wskutek ogólnej hiperprodukcji światowej i wskutek „rozwoju gospodarczego“ szeregu państw egzotycznych.

Wynika stąd wniosek prosty, logiczny i nieuchronny, że różne gałęzie polskiej produkcji, nastawione i rozbudowane niegdyś na daleko większe możliwości zbytu, muszą się z konieczności znacznie zredukować pod względem ilościowym, zwłaszcza także i wobec zmniejszenia pojemności zbiedzonego rynku wewnętrzno - krajowego. Upór w bezkrytycznem podtrzymaniu tego wszystkiego, co istnieje, co przejęliśmy z pod władzy zaborców i dobudowaliśmy zwłaszcza w ciągu trwania złotego mirażu inflacji, byłby oczywistem samobójstwem dla państwa, dla gospodarstwa krajowego i dla resztek siły nabywczej społeczeństwa.

Nie jest dzisiaj przyjacielem sfer gospodarczych ten,

kto im bezmyślnie pochlebia, kto jednostronnie tylko użala się nad niemi dla pozyskania sobie ich względów (i subwencji), kto stara się bezwzględnie przyklaskiwać im w usiłowaniach ratowania i podtrzymania za jakąbądź cenę status quo — ale ten, kto szczerą, choćby twardą, powie im prawdę. Podobnie nie jest dobrym kupcem czy przemysłowcem ten, kto chowając głowę w piasek, nie chce spojrzeć w oczy „rzeczywistej rzeczywistości", w naiwnem mniemaniu, że rząd wszystkiemu zaradzi i. . . jakoś to będzie.

Bo trzeba sobie jasno, z trzeźwością przewidującego buchaltera, postawić pytanie: Jak długo pociągnie jeszcze ten system wyciągania ze społeczeństwa świadczeń na rzecz nadmiernie rozwiniętej produkcji i utrzymywania bezrobotnych? Może rok, dwa, trzy lub nawet dziesięć, ale wreszcie musi przyjść kompletne zniszczenie resztek siły płatniczej obywateli - konsumentów i krach powszechny, bez ratunku. To jest pewne, bezsporne, jak dwa razy dwa jest cztery.

Trzeba się więc ograniczać ilościowo, redukować i to zawczasu, nie dopiero pod wpływem siły wyższej i bezpośredniego bankructwa. A w tym celu niezbędną jest „g o s p o d a r k a p l a n o w a". Trzeba stanowczo odrzucić wszelkie narkotyzujące na chwilę, dorywcze środki ratunkowe, kredyty, subwencje rządowe, kombinacje kartelowe i tym podobne bezcelowe przedłużania mizernej, skazanej na śmierć wegetacji. Trzeba spuścić z tonu i z pretensji „mocarstwowego rozwoju gospodarczego" i ujarzmić chwilowo egoistyczny indywidualizm produkcyjny i zarobkowy (w rzeczywistości deficytowy!) na rzecz — powtarzam — planowej gospodarki. Trzeba przez pewien okres tej planowej gospodarki cofnąć się nieco wstecz, ale właśnie dlatego, żeby przyjść do swobodniejszego oddechu.

Zachodzi tylko pytanie, które już samym sferom gospodarczym pozostawiamy do rozstrzygnięcia: Jeżeli planowa gospodarka, jako pewien niezbędny środek przej-

ściowy, nastąpić musi, to jaki ma przybrać charakter? Czy przymusowej, etatystycznej interwencji państwowej w postaci apodyktycznych nakazów i zakazów, w postaci bezwzględnego, planowego zamykania setek warsztatów zbędnych, nieżyciowych, a niemniej przymusowego ograniczania drugich? Czy też w postaci stworzenia odpowiedniej, możliwie objektywnej ekspertyzy w sferach rządowych i finansowych, którąby określała rozumnie a przewidująco celowość wspomagania kredytem i innymi środkami warsztatów, naprawdę żywotnych w danych warunkach ogólnej sytuacji gospodarczej, z pozostawieniem innych własnemu losowi?

Wybierajcie, bo innego wyjścia nie widzę! Zdaje mi się jednak, że broniona tak wymownie przy każdej okazji swoboda inicjatywy prywatnej skłonićby powinna poważne sfery gospodarcze do zgodzenia się na tę drugą ewentualność, która eliminuje bezpośrednią, dyktatorską ingerencję rządu i urzędnika państwowego w prywatne życie gospodarcze. Bo ten drugi system „planowej gospodarki"— różniczkowanie pomocy kredytowej na podstawie ekspertyzy żywotności przedsiębiorstw — chroni ogół gospodarstwa prywatnego od całkowitej etatyzacji, a może i socjalizacji stosunków, a z drugiej strony otwiera dla prywatnego zmysłu i talentu gospodarczego odpowiednie pole do przeobrażania się mniej żywotnych i nazbyt rozdętych przedsiębiorstw w takie formy czy nowe działy produkcji, które odpowiadają więcej możliwościom zbytu w obecnych warunkach. Zapewne, niejedno przy tem zginie, niejedno wielokrotnie zredukować się musi, ale przynajmniej reszta się ocali, powstaną nowe gałęzie produkcji przemysłowej i rolnej i atmosfera się wyklaruje. Nadto zaś zyska na tem bez żadnej wątpliwości jakość polskiej produkcji, bo właściciele warsztatów, koniecznością redukowanych do znacznie mniejszych rozmiarów, będą zmuszeni ratować się podnoszeniem jakości swego towaru, co, przynajmniej w wielu wypadkach, wyjdzie na korzyść im

i marce polskiej produkcji wogóle. W przeciwnym zaś razie albo wszystko znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, albo też drogą etatyzmu rzucimy się, chcąc nie chcąc, w jarzmo doktryny Marksa. Jak zaś w szczegółach unormować tę planową gospodarkę drugiego typu — krytycznej polityki kredytowej — to już rzecz talentu kierowników rządu przy odpowiedniej inicjatywie i współpracy rozumnych, poważnych sfer gospodarczych.

Zarzuci jednak ktoś, że taka „planowa gospodarka", połączona z pewnym nieuchronnym, organicznym (nie formalnie-przymusowym) procesem redukcji, wyrzuci na bruk nowe zastępy bezrobotnych. Zarzut o tyle nieistotny, że w razie dalszego trwania status quo ilość bezrobotnych i tak będzie się mnożyć niewstrzymanym rozpędem, mimo wszelkich sztucznych paljatywów „walki z bezrobociem". Jakakolwiek zbawienna reforma istniejącego stanu rzeczy musi w nieuchronnej konsekwencji przynieść najpierw dalszy wzrost bezrobocia, a potem dopiero stopniowy jego spadek. Cudów odrazu nikt nie uczyni. Natomiast kryzys bezrobocia, w każdym razie nieuchronny, będzie miał jednak w razie planowej redukcji i reorganizacji produkcji tę niezmierną wyższość nad kryzysem w razie bezplanowości, że w pierwszym wypadku potrwa krócej i stopniowo zakończy się w miarę odpływu robotników przemysłowych do innych zajęć — zwłaszcza do rzemiosł — podczas gdy w drugim wypadku bezrobocie z całą pewnością wzmagać się będzie coraz bardziej, aż wreszcie, gdy środki państwa i społeczeństwa się wyczerpią, wybuchnie prawdziwą katastrofą gospodarczą i socjalną.

I dlatego perspektywa chwilowego zwiększenia bezrobocia wskutek pozostawienia nieżywotnego nadmiaru produkcji swemu losowi, nie może stanowić żadnego argumentu przeciw wprowadzeniu planowej gospodarki.

Natomiast inny sposób pewnego załagodzenia najostrzejszych skutków bezrobocia wydaje się bezwzględnie wskazanym: po pierwsze, odmówienie stanowczo wszel-

kiego zasiłku tym, którzy się lenią do pracy, przekładając nad nią względnie wygodny żywot „zawodowych bezrobotnych“, a powtóre stanowcze zaprzestanie zasiłków pieniężnych dla ogółu bezrobotnych, a obdzielanie ich niezbędnymi produktami i odzieżą w naturze. Przy wprowadzeniu takiego systemu zyskałaby z jednej strony produkcja przemysłowa i rolna, gdyż państwo, zamiast ściągać z ogółu obywateli i z życia gospodarczego świadczenia pieniężne na wydatek quasi miłosierny, ale bezwzględnie nieproduktywny, zaczęłoby za te same sumy zakupywać odpowiednie produkty w rolnictwie i w fabrykach, przez co produkcja doznałaby podniety, a klęska bezrobocia pewnego przynajmniej złagodzenia. Z drugiej zaś strony położonoby tamę niesłychanej, rzec można niemal: planowej, demoralizacji coraz liczniejszych rzesz bezrobotnych, których otrzymywane zasiłki pieniężne wprost bolszewizują, odstręczają od pracy i — rozpijają. Z własnego doświadczenia konstatuję, że niemal każdy bezrobotny, dzwoniący do mych drzwi z prośbą o jałmużnę, jest wprawdzie z reguły brudny i głodny, ale również z reguły pijany. Pojąć nie można, że dzisiejsze państwo polskie nie było dotąd w stanie oderwać się od bezmyślnej doktryny demagogicznej, wprowadzonej przez dawną sejmokrację i nie zastąpiło jeszcze zasiłków pieniężnych zasiłkami in natura, z wszechstronną korzyścią dla bezrobotnych, dla ogółu społeczeństwa, dla skarbu państwa i dla życia gospodarczego!!

Jeżeli tak twardo i ostro wykazujemy generalny fałsz hasła „rozwoju gospodarczego“ i samobójcze, jak dotąd, nastawienie pod tym względem sfer gospodarczych, to z drugiej strony rozumiemy także w całej pełni, że do wzmagania się kryzysu przyczyniają się w niemałym stopniu także i błędne pojęcia nowożytnego państwa ratowania się z nędzy, czy popierania rozwoju gospodarczego i swych własnych dochodów przez coraz większe naciskanie śruby podatkowej wszelkiego rodzaju. Jasnem jest przecież, że gdy człowiek jest biedny, to trzeba mu pomóc i ulżyć mu

ciężaru, a nie obarczać go coraz bardziej, aż do utraty tchu. Cokolwiek więc mogliby na to powiedzieć zwolennicy nadmiernej supremacji państwa nad obywatelem, to jedno jest pewnem: że jak przy dalszej dyktaturze produkcji musi wyczerpać się wreszcie wszelka zdolność nabywcza konsumenta, tak przy dalszym nacisku śruby podatkowej, konfiskującej już samą substancję majątkową i warsztaty pracy, musi przyjść również kres zdolności płatniczej obywatela.

W tem zgodni jesteśmy ze sferami gospodarczemi. W tym jednak kierunku również pewna wspólna, planowa i masowa akcja jest konieczna, któraby uzgodniła jak najrychlej niezbędne potrzeby państwa (prawdziwie niezbędne!) z możliwością świadczeń obywatelskich. Ale chcąc odnieść w tym kierunku sukces rzetelny i trwały, muszą sfery gospodarcze przedewszystkiem same się wyleczyć z „egoistycznego szału nadprodukcji", odpowiednio zredukować i zreorganizować i uznać raz na zawsze, że ich racja bytu polega tylko na zaspakajaniu potrzeb społeczeństwa, a pod żadnym warunkiem nie może być jakąś stałą nietykalną, ani celem samym w sobie.

Jan Bobrzyński.

Do powyższego artykułu otrzymałem następujące uwagi od p. Stanisława Meyera, wybitnego współautora naszego pisma:

Szanowny Panie Redaktorze!

Skwapliwie korzystam z udzielonego mi przez Szan. Pana łaskawie pozwolenia skreślenia kilku słów w sprawie Jego artykułu pod tytułem „Dyktatura Produkcji", tembardziej, że w ostatecznej konkluzji obydwaj do jednakowych dochodzimy wniosków o niezbędnem wprowadzeniu planowości do życia gospodarczego Polski.

Różnimy się natomiast dość zasadniczo co do przesłanek, które nas do tego wniosku prowadzą. Szan. Pan

wychodzi z założenia, że kryzys, który obecnie przeżywamy, jest rezultatem nierozumnej, samobójczej, ale bądź co bądź świadomej i celowej polityki sfer gospodarczych, a także, że ujawniane obecnie przez sfery te dążenie do interwencjonizmu jest dalszym ciągiem tej samej polityki; ja zaś ośmielam się być wyznawcą f a t a l i z m u w sprawach gospodarczych.

Stały kontakt z życiem gospodarczem i jego kierownikami doprowadził mnie do mniemania, że tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach trafiają się jednostki, które potrafią przeprowadzić w tej dziedzinie jakąś celową, świadomą i na szerszą skalę obmyślaną politykę. Natomiast o g ó ł p r z e m y s ł o w c ó w i k u p c ó w p ł y w a s o b i e p o u n o s z ą c e j g o f a l i, nie zdając sobie przeważnie sprawy, dokąd go ta fala prowadzi. Jakie są przyczyny tego fatalizmu i dlaczego tam, gdzie — zdawałoby się — powinien o wszystkiem decydować ołówek i rozsądek, widzimy bierne poddanie się losowi?

Analizując i badając historję życia gospodarczego, chociażby tylko XIX wieku, widzimy, że skutki pewnych ważnych poczynań, wynalazków lub zmian organizacyjnych osiągają rezultaty dopiero po upływie pewnego i to dość odległego czasu. Ostatnio ekonomiści obliczają ten okres pomiędzy powstaniem przyczyn, a realizacją skutków w życiu gospodarczem, na jakieś 30 do 40 lat, czyli, że okres ten jest zwykle dłuższym, niż działalność poszczególnych jednostek; przerasta on pracę jednego pokolenia. Dlatego to, co się dzisiaj dzieje, jest nietyle rezultatem pracy i zmagań dzisiejszego pokolenia, ile odzwierciedleniem poczynań całego XIX wieku, a w szczególności jego drugiej połowy.

W rezultacie widzimy w życiu gospodarczem ten na pozór paradoksalny objaw, że ludzie muszą postępować nietylko wbrew swoim przekonaniom, ale często i wbrew swoim interesom.

Skonstatowanie tego fatalizmu gospodarczego uważam za rzecz pierwszorzędnej wagi nie tyle jako wytłomaczenie pewnych niekonsekwencji czynników gospodarczych, ile jako wskaźnik dla naszej dalszej działalności. Musimy ciągle mieć na myśli, że nasze dzisiejsze poczynania w dziedzinie gospodarczej (a może i politycznej?) obciążać będą swojemi konsekwencjami przyszłe pokolenia i pod tym punktem widzenia musimy rozpatrywać wszelkie projekty zmian, które mają być wprowadzone w naszym ustroju ekonomicznym. Chociaż i na nas ciąży ten fatalizm i biegu wypadków całkowicie powstrzymać nie możemy, to jednak tak, jak przy odpowiednim wysiłku kierować można korytem rzeki, choć nie da się powstrzymać jej biegu i my możemy, wiedząc czego chcemy, pomimo nieubłaganej konsekwencji istniejących przyczyn, skierować życie gospodarcze zbiorowym wysiłkiem w prawą lub w lewą stronę.

Przechodząc od tych rozmyślań natury ogólnej do spraw polskich, nie mógłbym zgodzić się z Szan. Panem w sprawie istnienia w Polsce nadprodukcji. Wystarczy przejrzeć „Rocznik Statystyczny", aby się przekonać, jak dalecy jesteśmy zarówno w naszej produkcji, jak i konsumcji od naszych zachodnich sąsiadów *), a pierwsza lepsza wycieczka do naszych zakładów przemysłowych wykaże, jak jesteśmy pod względem technicznym zacofani.

Nie wydaje mi się, aby nasze niedomagania znajdowały źródło swe w zbytnim postępie przemysłowym lub nadprodukcji. Zło leży gdzieindziej. Leży ono, jak Szan. Pan słusznie wskazuje w końcu swego artykułu, w rozbudowaniu nad stan tak zwanych świadczeń i zdobyczy socjalnych. Jesteśmy poprostu za biedni, abyśmy mogli długo

---

*) Słusznie, o ile porównać cyfry bezwzględne, lub nawet na głowę mieszkańca — ale w stosunku do obecnej siły nabywczej naszego społeczeństwa mamy bezwzględnie nadprodukcję i, co najgorsze, nadmiernie rozbudowane warsztaty, przekraczające znacznie możliwość zbytu i eksportu! (Przyp. Red.).

wytrzymać wszystkie te ciężary, czy to w formie wybujałych budżetów państwowych i samorządowych, czy w formie Kas Chorych, Ubezpieczeń Państwowych i t. p. i t. p.

W tym stanie rzeczy planowość, na którą się obydwaj zgadzamy, winna dotyczyć nietylko zastosowania produkcji do zdolności konsumcyjnej kraju, lecz musi również dążyć do podniesienia zdolności konsumcyjnej obywateli drogą zmniejszenia ciężarów publicznych i to nie w celu utrzymania à tout prix „systemu ustabilizowanego“ i nie w celu popierania „Dyktatury Produkcji“, lecz poprostu dlatego, aby pozwolić zbiedzonemu obywatelowi na pokrywanie najniezbędniejszych potrzeb.

W dzisiejszym stanie rzeczy niema obawy o utrzymanie „ustalonego systemu“, który i tak wali się w gruzy, nie będąc w stanie sprostać wszystkim nałożonym nań ciężarom i nie można się dziwić, że — szukając dróg wyjścia ze swej często beznadziejnej sytuacji — przemysł wyciąga rękę o pomoc do rządu. Jest rzeczą, po ludzku biorąc, niemożliwą, aby człowiek w obliczu grożącej mu ruiny nie starał się ratować i nie można za to winić sfer gospodarczych. Jest natomiast rzeczą niezbędną, aby jakaś „nadrzędna“ organizacja społeczeństwa decydowała — w myśl racjonalnego i z góry powziętego planu — kto z tych ginących winien być w imię wspólnego dobra ratowanym, a kogo należy pozostawić swemu losowi.

Stanisław Meyer.

SPRAWA SREBRA.

1. FRAGMENT KRYZYSU ŚWIATOWEGO.

Chcąc mówić o srebrze, srebrze wyłącznie monetarnem, trudno się zdecydować, od czego mianowicie zacząć: od srebra czy od złota? Miarą bowiem wartości srebra stało się złoto, pragnąc więc poznać wartość srebra musimy przedtem zapoznać się z jego miernikiem — złotem. Nie znaczy to bynajmniej, że złoto, jako metal i rzecz sama w sobie, posiada jakąś wartość niezmienną, trwałą, nadaną mu raz na zawsze bądź to przez procesy geologiczne, bądź siły ekonomiczne. Złoto, jak wszystkie dobra materjalne na świecie, gdy wchodzi w orbitę działalności ludzkiej, podlega prawu podaży i popytu. Wartość więc jego zmienia się w zależności od zmian, jakie to prawo wywołuje w układzie ekonomicznym w danej miejscowości i w określonym czasie.

A co to jest układ ekonomiczny, za pomocą jakich narzędzi możemy go poznać, zbadać, wymierzyć? Otóż nauka daje nam już do rąk instrument, daleki wprawdzie jeszcze od doskonałości, ale pozwalający już z pewną dozą prawdopodobieństwa sądzić o stopniu i kierunku zachodzących przemian ekonomicznych. Jest to wskaźnik (indeks) cen hurtowych. Jest on instrumentem najważniejszym, któremu do pomocy służą inne, jak: wskaźnik płac zarobkowych, wskaźnik kursów papierów wartościowych, wahania stopy dyskontowej, statystyka protestów i upadłości, ruch kapitałów w bankach, bilanse handlowy i płatniczy i cały szereg innych.

Skoro zatem złoto zmienia swą wartość w zależności od zmian, wyrażonych we wskaźnikach cen hurtowych, to gdzież jest ten właściwy miernik, na podobieństwo metra,

kilograma, litra, którymi zwykliśmy w absolutnych niejako liczbach wymierzać wszystkie inne gospodarcze stosunki pomiędzy ludźmi? Tym miernikiem jest jednostka pieniężna, ustawowo przyjęta w każdem poszczególnem państwie, jako prawna waluta danego państwa. Jednostkę tę przyjęto w ostatniem stuleciu i coraz większa ilość państw cywilizowanych opiera się na złocie, jako na metalu, najlepiej nadającym się do tych celów. Polska określa ustawowo swą jednostkę pieniężną (dekretem Prezydenta z dn. 13 października 1927 r.) w ten sposób, że z jednego kilgrama czystego złota wybijać się będzie 5,924.44 złotych. Dla celów jednak porównawczych w interesującej nas obecnie sprawie weźmiemy najtrwalszą od czasu wojny światowej i najbardziej dziś rozpowszechnioną walutę, jaką jest dolar U. S. A. Dolar ten zawiera 23,22 granów czystego złota. Ta więc masa (waga) złota, jak i waga złota każdej innej waluty, jest tą jednostką pieniężną, którą się mierzy zmiany, zachodzące we wskaźnikach cen hurtowych.

Najważniejszą bodaj zdobyczą nauk ekonomicznych w ostatnich kilkudziesięciu latach jest właśnie statystyczne ujęcie tej korelacji, jaka istnieje pomiędzy złotem a cenami towarowemi, wyrażonemi we wskaźnikach cen hurtowych. Gromadzone z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, z okresu na okres, liczby statystyczne wykazują, jak silnie zmienia się stosunek wartościowy złota do cen towarowych. Dolar w pewnym okresie jest zdolny nabyć 100 jednostek towarowych, w innym okresie już tylko 50 tych samych jednostek towarowych, w innym znów aż 200 tych jednostek. Mówi się wówczas o tem, że dolar (złoto, pieniądz) traci lub zyskuje na swej wartości, że jego siła nabywcza kurczy się lub wzmaga. To znaczy, jeżeli przyjmiemy za „normalną" wartość dolara taką wartość, kiedy jego siła nabywcza równa się 100 jednostkom towarowym, to wartość jego wtedy, kiedy nabywa tylko 50 jednostek, będzie o połowę mniejsza, czyli 50 centów, mimo, że masa złota w dolarze nie uległa żadnej zmianie, że waga jego pozostała ta sama—

23,22 granów. W tym wypadku podwoi się wskaźnik cen hurtowych i mówi się wówczas o drożyźnie towarów i o potanieniu pieniądza. I odrotnie, w tym momencie, kiedy dolar nabywa 200 jednostek towarowych, wartość jego podnosi się w stosunku do przyjętego normalnego dwukrotnie, t. zn. do 2 dolarów. W tym wypadku wskaźnik cen hurtowych spada o połowę i mówi się o potanieniu towarów i podrożeniu pieniądza. W tej właśnie współzależności cen i wartości złota tkwi ta „złuda pieniądza", którą tak doskonale zobrazował ekonomista amerykański prof. Irving Fisher.

W Polsce wskaźnik cen hurtowych za okres ostatnich dziewięciu lat kształtował się według obliczeń Głównego Urzędu Statystycznego w sposób następujący:

1922 r.	71	1926 r.	89
1923 r.	82	1927 r.	100
1924 r.	103	1928 r.	101
1925 r.	106	1929 r.	96
		1930 r.	82

Jak wynika z powyższych danych, za podstawę porównań (100) wzięto rok 1927, w którym została dokonana reforma walutowa.

Zjawisko zmienności siły nabywczej pieniądza, jak przyznają najwybitniejsi ekonomiści współcześni, jest największą plagą ludzkości. Świadczy ono zarazem o tem, jak niedoskonałym jest jeszcze obecny system walutowy, z którym narody i państwa wiążą cały swój byt i los. Z tego też względu nie ustają wysiłki najpoważniejszych rzeczoznawców walutowych, ekonomistów i polityków w kierunku doskonalenia systemów monetarnych, a nawet w kierunku zaniechania obecnie przyjętego systemu waluty złotej i zastąpienia go systemem innym. Usiłowania te wzmagają się zwłaszcza w okresach silniejszych wahań siły nabywczej złota. Przeżywamy właśnie okres niezmiernie intensywnego tempa zmiany tej wartości, który rozpoczął się

w niektórych państwach, zwłaszcza w Wielkiej Brytanji i jej dominjach, już w 1928 r. Zjawisko to było powodem zajęcia się kwestją złota przez tak autorytatywny organ, jakim jest wyłoniony przez komisję finansową Ligi Narodów specjalny komitet ekspertów waluty złotowej, t. zw. delegacja złotowa. Zupełnie niezależnie od prac Ligi Narodów, na wielką i poważną skalę pracuje nad „przyczynami i skutkami wahań siły nabywczej pieniądza" poważne stowarzyszenie w Ameryce — The Stable Money Association — którego praca badawcza została w roku zeszłym obliczona na półtrzecia roku i koszt jej na kilkaset tysięcy dolarów. Niezmiernie też ważnym przyczynkiem do wyjaśnienia kwestji złota, jako miernika wartości i jako podstawy systemu waluty złotej (gold standard) lub systemu waluty dewizowo-złotowej (gold exchange standard), jest opublikowany niedawno t. zw. raport Mac Millan'a. Raport ten jest tem ciekawszy, że jest on wynikiem badań komitetu rzeczoznawców, powołanego w 1929 r. specjalnie w tym celu przez rząd socjalistyczny Wielkiej Brytanji. Kanclerz skarbu tego rządu, p. Filip Snowden, budował duże nadzieje na rezultatach pracy tego komitetu, sądził bowiem, że uda się grutownie zreformować podstawy waluty, zasady bankowości, techniki kredytowej i innych ostoi świata kapitalistycznego i tem samem zbliżyć się do ustroju socjalistycznego. Zasadnicza jednak teza raportu brzmi:

„Niema zapewne w zakresie techniki ogólnoludzkiej zadania ważniejszego, niż osiągnięcie zdrowego i naukowego systemu monetarnego dla całego świata. Mała jest jednak nadzieja na osiągnięcie w najbliższej przyszłości takiego światowego systemu monetarnego; będzie nim w przyszłości wynik procesu ewolucyjnego, którego punktem wyjścia jest historyczna waluta złota".

Tak więc najpoważniejsze badania najbardziej do tego powołanych fachowców i komitetów, począwszy od pierwszej po wojnie konferencji ekonomicznej w Genui, aż do dni ostatnich, jednogłośnie stwierdzają, że mimo wszelkich bra-

ków i trudności, jakie wykazuje waluta złota lub waluta, oparta na złocie, dotąd ludzkość nic innego i lepszego stworzyć nie jest zdolna. Jesteśmy raczej na początku drogi tej wielkiej tendencji ekonomicznej, która nakazuje stopniowe zaprowadzenie waluty złotej na całym świecie, poczem dopiero może się wyłonić jakiś doskonalszy system wymiany gospodarczej w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych. Taki stan rzeczy należy szczególnie podkreślać dziś, kiedy ze wszech stron rozlegają się niepowołane ku temu głosy, potępiające system monetarny, oparty na złocie i wróżące mu niechybne bankructwo.

Zatem złoto, jako ogólny miernik wartości, jako podstawa pieniądza, jako fundament kredytu i środek rozrachunków międzynarodowych, zdobyło sobie ogólne prawo obywatelstwa we wszystkich krajach cywilizowanych. Nie przyszło mu to łatwo, bowiem na drodze swej do tego celu miało złoto do zwalczenia inny metal — srebro — które od niepamiętnych czasów spełniało funkcję miernika wartości materjalnych.

Walka złota ze srebrem, trwająca kilka wieków, zakończyła się definitywnie w ubiegłem stuleciu zwycięstwem złota. Na wynik ten wpłynęły czynniki o charakterze czysto technicznym, a więc przedewszystkiem ciężar gatunkowy obu metali: złoto, będące niespełna dwa razy cięższe od srebra, normalnie posiadało wartość około 15-krotnie wyższą od srebra, wskutek czego zarówno przechowywanie jego, jak i wszelkie przesyłki i transporty, wymagają mniejszych zachodów i kosztów. Różnica wiec w tych kosztach zawsze będzie premją na korzyść złota. Drugim bardzo ważnym czynnikiem, przemawiającym na korzyść złota, są warunki produkcji obu metali. Gdy główna masa złota wydobywa się bezpośrednio ze złotonośnych pokładów w stanie czystym, wydobycie srebra w jego głównej masie jest czynnością wtórną w hutnictwie miedzi, ołowiu i cynku; z tego też względu opanowanie produkcji złota nie nastręcza tylu trudności o charakterze ekonomicznym, jak

opanowanie produkcji srebra. Będąc produktem ubocznym, ilość wydobytego srebra ulega silniejszym wahaniom w zależności od konjunktur przemysłowych. Wahania te są cechami ujemnemi dla srebra, jako miernika wartości innych dóbr i dlatego musiało ono ustąpić przed swym rywalem, złotem, wykazującym większą równomierność, stałość i planowość w procesach wytwórczości.

Techniczne zatem i ekonomiczne właściwości obu metali, a nie żadne inne—estetyczne czy zgoła metafizyczne— zdecydowały o zwycięstwie złota nad srebrem w dziejach ludzkich. Nie łatwo jednak człowiek wyzbywa się tradycji, przekazywanej mu wiekami z pokolenia na pokolenie. Silnie przylgnęło srebro do życia codziennego ludzi, dlatego też do dziś dnia służy ono, jako pieniądz pomocniczy obok pieniądza złotego. Długi czas w niektórych państwach pełniło ono funkcję, równomierną ze złotem, t. j. system walutowy tych państw opierał się na obu metalach (t. zw. bimetalizm), przyczem ustawa zgóry określała stosunek wartościowy obu metali, który wyrażał się zwykle w granicach 14 — 16 : 1.

Dziś już na ogólną ilość 61 państw i kolonji, mających swe własne systemy monetarne, 58 przeszły zdecydowanie na system, oparty na złocie bądź to w formie waluty złotej, bądź waluty dewizowo-złotowej. Pozostałe 3 kraje: Chiny, Indo-Chiny i Persja, zachowały dotychczas system monetarny, oparty na srebrze, czyli są to kraje o walucie srebrnej. Ostatnio jednak nawet w Chinach czynią się już stopniowo przygotowania do zaprowadzenia waluty, opartej na złocie.

Pomimo jednak oficjalnego wprowadzenia waluty złotej połowa ludności na świecie dotąd uważa srebro za właściwy i jedyny swój pieniądz. Poza trzema wymienionymi już krajami azjatyckimi, monety srebrne są w pełnem użyciu i obiegu w Indjach, Meksyku i w krajach Ameryki Południowej. Z tego też względu, w celu uproszczenia dalszych naszych rozważań, podzielmy w pewnym dowolnym

sensie wszystkie istniejące na świecie państwa i narody na dwa rodzaje: kraje srebrne i kraje złote. Podział ten nie liczy się z ustawowem zaprowadzeniem waluty, opartej na złocie, lecz z faktycznym stanem stosunków monetarnych, panujących w danym kraju. Całą więc Europę, Stany Zjednoczone, Kanadę, Japonję, Egipt, Afrykę Południową i Australję zaliczymy do krajów złotych, resztę zaś świata do krajów srebrnych.

2. DEWALUACJA SREBRA.

W jednem ze swoich przemówień na temat zagadnienia srebra senator William E. Borah powiedział: „Kraje wschodnie, liczące około miljarda ludności, nietylko mają już, ale i w silnym stopniu pragną mieć w użyciu monety srebrne. Jedynie tylko zarządzenia rządowe mogą stanąć na przeszkodzie tym zwyczajom. Rządy w drodze aktów prawodawczych mogą zaprowadzić walutę złotą, mogą także uchwalać i decydować o tem, że jedynie złoto jest środkiem prawnym przy zaciąganiu i regulowaniu zobowiązań zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Jednakże rządy na tej samej drodze prawodawczej nie mają możności zaopatrzenia ludzi w złoto, które mogłoby im służyć w stosunkach handlowych. Jest faktem znanym, że w okresie kilku ostatnich lat rządy wielu państw zaprowadziły system waluty, opartej na złocie, zmuszone jednak były do sankcjonowania srebra, jako pieniądza, zapomocą którego ludzie mogą nabywać towary i produkty oraz uiszczać się ze swych długów i zobowiązań“.

Z wyłuszczonych poprzednio przyczyn stosunek wartości srebra do złota, czyli parytet srebra, ulegał w pewnych okresach dość silnym wahaniom. Dopóki prawodawstwo monetarne wiązało wartości srebra i złota ustawowym stosunkiem, dopóty parytet srebra utrzymywał się w pewnych granicach na swym poziomie. Z chwilą jednak, gdy granice te zostały przekroczone, t. j. gdy zmiany eko-

nomiczne poczęły wywierać zbyt silną presję na jeden z tych metali, gdy stosunki handlowe spowodowały zmiany w ustabilizowanym chwilowo układzie podaży i popytu, wówczas zaczęło dochodzić do głosu t. zw. prawo Greshama, które, w danym wypadku, kosztem spadku wartości srebra (waluty gorszej) podnosiło wartość złota (waluty lepszej).

W czasie wojny światowej oraz w kilkoletnim okresie powojennym, kiedy złoto na całym prawie świecie zostało wycofane z prawnego obiegu, by popłynąć do Ameryki w charakterze pokrycia za otrzymane stamtąd produkty i materjały wojenne, wówczas srebro weszło w swe prawa, jako najlepszy i najbardziej rozpowszechniony na świecie pieniądz. Brak nam dzisiaj dokładnej statystyki o ówczesnej „wartości“ srebra w różnych krajach świata, o jego parytecie i sile nabywczej. To pewna, że stosunek jego do złota, zwłaszcza w krajach srebrnych, stał na bardzo wysokim poziomie.

Sytuacja jednak odwraca się bardzo ostro gdy państwa europejskie, po finansowym wstrząsie wojennym, zaczęły powracać do starych systemów monetarnych, opartych na złocie. Okres ten, mało jeszcze zbadany, jest najciekawszym przyczynkiem do zrozumienia obecnego kryzysu światowego. Nie miejsce tu na przeprowadzenie głębszej analizy reform walutowych, dokonanych w Europie. Podkreślić jednak należy, że jak w chwili obecnej cała inicjatywa t. zw. sprawy srebra, sprawy istotnie niezmiernie ważnej, wyszła ze sfer producentów srebra w Stanach Zjednoczonych, tak samo najsilniejszy nacisk na Wielką Brytanję w kierunku powrotu do klasycznej waluty złotej był wywierany przez producentów złota w Afryce Południowej. Uznawany powszechnie za jednego z najlepszych znawców zagadnień walutowych, p. Samuel Evans, prezes największej kopalni złota w Transwalu, stwierdza ten fakt bez żadnych osłonek w swych dorocznych sprawozdaniach. Mówiąc o kilkoletniej walce rządu Związku Afryki Połud-

niowej (czytaj producentów złota), mającej na celu przywrócenie w W. Brytanji ustabilizowanej na przedwojennym parytecie waluty złotej, p. Evans przypomina debaty w tej sprawie w londyńskiej Izbie Gmin z dn. 4 maja 1925 r. Gdy p. Snowden ostrzegał rząd przed zbyt pośpiesznem stabilizowaniem funta i legalizowaniem waluty złotej, odpowiedział mu na to p. Winston Churchill, ówczesny minister skarbu, że „jeżeli oderwiemy się od ruchu, zapoczątkowanego przez nasze dominjony (Afrykę Południową, gdzie zaprowadzenie standardu złota było już postanowione), narażamy się na ryzyko pełnej izolacji. Gdybyśmy okazali się niezdolni do powzięcia decyzji, wówczas nasze autonomiczne dominjony mogłyby niezależnie od nas przyjąć walutę złotą; zaczęłyby one handlować pomiędzy sobą, pozostawiając ojczyznę (Anglję) jej własnemu losowi; zaczęłyby handlować ze Stanami Zjednoczonymi na podstawie waluty złotej, pozostawiając na uboczu funt sterling, co równałoby się klęsce z punktu widzenia naszych interesów".

Z faktu powyższego widzimy, jak zazębiają się czynniki gospodarki wszechświatowej, jak inicjatywa jednej gałęzi przemysłu (w danym wypadku złota) wpływa na zmianę ustrojów prawnych na całym świecie — co bynajmniej nie jest koniecznie zjawiskiem ujemnem dla postępu kulturalnego świata — jak silnie dolar od czasu wojny przeciwstawiał się funtowi angielskiemu i jak współzawodnictwo tych dwu walut trwa z największem naprężeniem do dnia dzisiejszego.

Fakt wprowadzenia w Anglji w kwietniu 1925 r. waluty złotej i ustabilizowania jej na przedwojennym parytecie jest dotychczas oceniany z różnych punktów widzenia. Jedni ekonomiści twierdzą, że w tej reformie zostały założone pierwiastki wybuchowe, które prędzej czy później musiały rozsadzić nową walutę angielską. Inni, nie widząc w niej zasadniczo żadnych stron słabych z punktu widzenia teorji monetarnej, trudność i niepewność złotego funta sterlinga upatrują w błędnej polityce wewnętrznej W. Brytanji. Mało natomiast jest głosów miarodajnych, które nie winiły-

by rządu W. Brytanji za reformę walutową w Indjach, dokonaną w 1926 r. Wprawdzie waluta złota z pewnemi ograniczeniami, t. zw. gold bullion standard (system walutowy, zezwalający na wymianę banknotów nie na monety złote, lecz tylko na złoto w sztabach), istniała w Indjach już przed wojną. Anglja u schyłku zeszełgo stulecia była tak ufna w niewzruszoną potęgę swego złotego funta, że już wtedy zamierzała wprowadzić w Indjach system monetarny, oparty na złocie. Bezpośrednim impulsem tej reformy była ówcześnie niska cena srebra, która też spowodowała, że mennica w Indjach już w 1893 r. zaprzestała bicia monet srebrnych. Zarządzenie to było wstępem do zalegalizania waluty złotej w 1899 r.; system ten jednak nie wytrzymał próby życia i załamał się całkowicie podczas wojny, kiedy nawet sama metropolja, Wielka Brytanja, zmuszona była zawiesić wypłaty w złocie. Po ostatniej swej reformie walutowej w 1925 r. powraca jednak Anglja do swej starej myśli „ozłocenia" Indji i od tej chwili rozpoczyna się zrazu cicha, niedostrzegalna, a później coraz głębsza i głośniejsza tragedja walutowa, jaką świat cały obecnie przeżywa.

Nie będziemy tu przytaczali wielu głosów i opinji poważnych i odpowiedzialnych polityków oraz ekonomistów amerykańskich, otwarcie potępiających Anglję za reformę walutową w Indjach, głosy te bowiem mogą być wzięte za stronnicze, wynikające z pobudek współzawodnictwa narodowego. Przytoczymy natomiast opinję rdzennego Anglika, p. J. F. Darling'a, jednego z dyrektorów Midland Bank'u, najpotężniejszej instytucji bankowej Wielkiej Brytanji. W końcu stycznia r. b. wygłosił on w londyńskiem Royal Empire Society odczyt na temat srebra, który poruszył całą finansjerę świata. Zarówno w tym odczycie, jak i w swych późniejszych wystąpieniach publicznych w Kanadzie i Stanach Zjedonczonych, p. Darling otwarcie winił rząd brytyjski za nieprzemyślaną reformę waluty indyjskiej. Reforma ta, według niego, zredukowała majątek Indji do połowy poprzedniej wartości i zniszczyła siłę nabywczą

ludności indyjskiej. „Zwykła sprawiedliwość, zwykłe poczucie ludzkości, zwykły zdrowy rozum nakazują, aby W. Brytanja podjęła inicjatywę przywrócenia równowagi pomiędzy srebrem a złotem, na tej bowiem równowadze spoczywa cały ustrój gospodarczy świata“ — powiada p. Darling.

Drugim, niezwykle znamiennym głosem w tej sprawie, który musi być usłyszany w Londynie, jest opinja delegata Indji na Kongres Międzynarodowej Izby Handlowej, jaki się odbył w Waszyngtonie w maju r. b. P. S. R. Bomanji, który jest osobistym przyjacielem Mahatmy Gandhiego, zapowiedział w Waszyngtonie, że jednym z głównych punktów konferencji londyńskiej, na którą wyjechał Gandhi, jest rozwiązanie kwestji srebra; o ile rząd brytyjski kwestji tej nie zechce omówić i wytknąć linji postępowania w celu jej rozwiązania, to konferencja musi zakończyć się fiaskiem. „Usiłowanie zaprowadzenia w Indjach waluty złotej — powiedział p. Bomanji — oraz stosowanie przez rząd brytyjski w zakresie systemu monetarnego środków bezwzględnych przyczyniło się do zupełnej pauperyzacji miljonowych rzesz najbiedniejszej ludności Indji. Przez poruszenie srebra wywiera się wpływ na 85% ludności indyjskiej, liczącej 350 miljonów. W srebrze zawarte są wszystkie oszczędności narodowe. Zmniejszając wartość srebra, odbiera się tej ludności jej nagromadzone oszczędności“.

W 1926 r., gdy w Indjach została wprowadzona reforma walutowa, cena srebra na rynku światowym wynosiła 65 centów za uncję. W początkach r. b. cena ta spadła do 26 centów. Głównym, ale nie jedynym powodem tak silnego spadku ceny jest fakt, że rząd indyjski, będąc zmuszonym do demonetaryzacji srebra, począł wycofywać z obiegu monety srebrne i przetapiać je w sztaby, które następnie sprzedawał, jako metal, czyli poprostu wymieniał go na złoto lub dewizy. Do końca roku zeszłego, jak obliczają, rząd indyjski sprzedał w ten sposób około 100 miljonów uncji. Wprawdzie w porównaniu z normalną roczną pro-

dukcją tego metalu nie jest to ilość zbyt wielka, stanowi bowiem mniej, niż połowę tej produkcji, to jednak nad rynkiem światowym ciąży obawa, że rząd indyjski gotów każdej chwili rzucić olbrzymie ilości srebra, nagromadzone w skarbcu i wynoszące zgórą 400 miljonów uncji. Ta niepewność działa tak samo deprymująco na rynek, jak i rzeczywista podaż. Spadek ceny srebra dał się dotkliwie odczuć dopiero w 1928 r. właśnie wtedy, kiedy rząd indyjski rozpoczął sprzedaż srebra na większą skalę. Jest rzeczą bardzo znamienną, że w tym właśnie roku zaczęły zniżkować bardzo silnie towary krajów wschodnich i południowych.

Zarządzenia walutowe indyjskie, jak powiedzieliśmy, były głównym, ale nie jedynym powodem dewaluacji srebra. W ostatnich latach, jakby w odpowiedzi na zniżkę ceny srebra, ale odpowiedzi zupełnie niezrozumiałej z punktu widzenia stabilizacji pieniądza na świecie, kraje złote zaczęły pośpiesznie demonetyzować srebro. Jedne z nich zaczęły wycofywać monety srebrne, zastępując je papierem, niklem lub innymi metalami, inne zmniejszać ilość zawartego srebra w monetach. Praktyka ta, która miała na widoku interes fiskalny poszczególnych państw, okazała się w skutkach bardzo fatalną dla gospodarki światowej. Nie posiadamy, niestety, ścisłych danych, ile mianowicie w wyniku tej europejskiej przeważnie demonetaryzacji srebra zwolniło się z produktywnego zastosowania metalu, sądzić jednak należy, że praktyka ta wyrzuciła na rynek także kilkaset miljonów uncji srebra. Znane są liczby, dotyczące Francji, która w ten sposób sprzedała w 1930 r. 22 miljony uncji, w 1929 r. — 10 miljonów i w 1928 r. — 19 miljonów. Indo-Chiny w 1930 r. dały 20 miljonów uncji. Pozatem deprecjonowały i wycofywały monety srebrne Anglja, Niemcy, Polska, Italja, Austrja, Holandja i inne kraje.

Niezależnie od tego sztucznego niejako źródła podaży, wydobycie srebra odbywało się nadal w trybie normalnym, ponieważ, jak już zaznaczyliśmy wyżej, produkcja

srebra jest ściśle związana z produkcją innych metali. Wytworzyła się więc sytuacja olbrzymiej nadprodukcji srebra, które, z chwilą pozbawienia go w krajach złotych jego historycznej roli pieniądza, niema już tak szerokiego zastosowania, jakiem się do niedawna cieszyło.

Skutki ekonomiczne i finansowe dewaluacji srebra są olbrzymie i katastrofalne. Można je schematycznie zobrazować w sposób następujący. Kraje srebrne pozostają w stałych stosunkach handlowych z krajami złotymi. Pierwsze produkują surowce i towary kolonjalne, drugie — wyroby przemysłu fabrycznego oraz narzędzia i środki wytwórczości. Przypuśćmy, że kraj srebrny w krytycznym roku 1928 wyprodukował towarów (kauczuk, kawę, herbatę, rudy, owoce etc.) w ilości mniejwięcej takiej, jaką sprzedawał w latach poprzednich, licząc, że po sprzedaniu ich uzyska sumę X w srebrze, równą sumie z lat poprzednich. Dotąd kraj srebrny nie zawiódł się: całą swoją produkcję sprzedał do krajów złotych i uzyskał też tę samą sumę X w srebrze, na którą liczył. Następuje jednak moment odwrotny: kraj srebrny zaczyna nabywać za swe pieniądze srebrne przedmioty, dostarczone z krajów złotych i spostrzega, że ceny tych przedmiotów podskoczyły w górę, gdyż banki przy zamianie srebra na banknoty krajów złotych wymagają już więcej srebra, niż w latach poprzednich. Narazie zwyżka cen towarów, pochodzących z krajów złotych, jest nieznaczna, więc kraj srebrny w roku przyszłym zwiększa swą produkcję, aby tą drogą wyrównać niedobór towarów zagranicznych, jaki powstał wskutek zwyżki cen. Następuje realizacja zwiększonych zbiorów roku drugiego, później trzeciego, kiedy kraj srebrny uprzytamnia sobie wreszcie, że im więcej produkuje i wywozi zagranicę, tem mniej wzamian może nabyć towarów z krajów złotych. Dowiaduje się, że przyczyną tego niezrozumiałego dlań zjawiska jest coraz niższy kurs srebra, ustalany z dnia na dzień w Londynie.

Kraj złoty, tracąc nabywców w krajach srebrnych

wskutek zmniejszonej siły nabywczej ludności tych krajów, musi niezwłocznie redukować swoją produkcję fabryczną. Redukując produkcję, zmniejsza tem samem swe zapotrzebowanie surowców krajów srebrnych, gdzie nagle powstaje nadprodukcja. Towary leżą na składzie niesprzedane, właściciele ich albo odrazu tracą cały swój kapitał i powiększają szeregi nędzarzy, albo stopniowo zjadają nagromadzone przedtem oszczędności. Ludność, pozbawiona dochodów, powraca rychło do stanu pierwotnego. Z drugiej strony kraj złoty, redukując produkcję, zwalnia zbędnych pracowników, którzy powiększają szeregi bezrobotnych. Bezrobotni kurczą do maximum swą konsumpcję i to zarówno w zakresie towarów, wytwarzanych w krajach złotych, jak i srebrnych. Nadprodukcja niebawem zaczyna się przejawiać w krajach złotych. Towary tak samo leżą na składach niesprzedane, jak i towary w krajach srebrnych. Obydwaj światowi kontrahenci zmniejszyli o połowę swoje normalne tranzakcje, wbrew wszelkim logicznym i naturalnym potrzebom. Stało się to dzięki temu, że giełda w Londynie zniżyła, czy zmuszoną była zniżyć o połowę wartość srebra w stosunku do złota. Transport na całej kuli ziemskiej zmniejszył o połowę swe przewozy. Banki zmniejszyły obroty walutami i dewizami. Zwiększyły się natomiast protesty wekslowe, upadłości, licytacje. Zachwiała się cała, tak misternie tworzona struktura kredytu światowego. Znikło zaufanie człowieka do człowieka, państwa do państwa, kraju srebrnego do kraju złotego i vice versa. Oto najkrótszy schemat genezy i rozwoju przeżywanego obecnie kryzysu światowego na tle walki złota ze srebrem. Schemat ten dotyczy przeważnie obrotu towarowego, ale jest inna jeszcze strona zagadnienia, strona finansowa, która uległa nie mniejszej katastrofie.

3. NIEWYPŁACALNOŚĆ KRAJÓW SREBRNYCH.

Spadek wartości srebra, który tak dotkliwie odbił się na całym stanie gospodarczym krajów srebrnych, wywołał szczególną reperkusję w krajach złotych. Jak wiadomo, te ostatnie są wierzycielami pierwszych. Tak było na długo przed wojną światową i stan ten wzmógł się jeszcze po wojnie, dzięki wkroczeniu do szeregów wierzycieli, na których czele stała i dotąd jeszcze stoi Anglja, nowego, potężnego dysponenta pożyczek, Stanów Zjednoczonych. Wierzyciele ci udzielali krajom srebrnym pożyczek w walucie złotej. Dłużnicy tak długo, jak srebro trzymało się na ustalonym parytecie, t. j. do 1926 r., nie odczuwali trudności w wywiązywaniu się ze swych zobowiązań. Z chwilą jednak, gdy parytet pomiędzy złotem a srebrem został naruszony, kiedy rozpiętość cen obu metali, wydłużając się stopniowo, podwoiła się, nadszedł moment niewypłacalności dłużników. Cała zależność przyczyn i skutków tej niewypłacalności, technika tego bankructwa walutowego, jest bardzo prosta. Kraj srebrny, obciążony długiem państwowym, wstawiał do swego budżetu pozycję rozchodową, równą wysokości odsetek i raty amortyzacyjnej tej pożyczki według nominalnej wartości srebra, nie przewidując jego spadku. Skarb państwa, pobierając podatki w monecie srebrnej lub w biletach, opartych na srebrze, gromadził je w takiej ilości, jaka figurowała w pozycji budżetowej na spłatę długów. W pewnym momencie tempo spadku ceny srebra zostało przyśpieszone i gdy nastały terminy płatności, kurs kuponów, jak i samych obligacyj, wyrażony w złocie, podskoczył tak w górę, że skarb kraju srebrnego mógł tylko w pewnej części sprostać swym zobowiązaniom. Nastąpił więc moment niewypłacalności dłużnika, co powodowało niezwłocznie spadek kursów jego papierów wartościowych na giełdach państw wierzycielskich, w krajach złotych.

Klasycznym ostatnio przykładem takiego bankructwa

walutowego jest Meksyk. Zatrzymujemy się specjalnie na tym przykładzie, aby pokazać, jak cicho i niepostrzeżenie dla szerszej opinji publicznej, nietylko w Polsce, ale i w całej Europie, przechodzą najgłębsze zaburzenia finansowe o charakterze międzynarodowym. Dzieje się to zapewne dlatego, aby nie siać wśród tej opinji paniki i nie odstraszać jej od inwestowania swych oszczędności w papierach niektórych państw. Z drugiej jednak strony właśnie opinja publiczna powinna być, naszem zdaniem, jak najdokładniej o wydarzeniach takich informowana, skąd bowiem ludzie, narody i ich rządy czerpać mają naukę, jak nie z żywych i aktualnych doświadczeń innych narodów i państw? Chodzi tu tembardziej o takie państwo, jak Meksyk, państwo, którego konstytucja zawarowała największe zdaje się na świecie t. zw. zdobycze socjalne dla ludności, stojącej jeszcze na niskim poziomie kulturalnym. Otóż długi rządu meksykańskiego wraz z długami meksykańskich kolei państwowych osiągnęły już kilka lat temu wysokość 500 miljonów dolarów U. S. A. Wskutek ciągłych zamieszek politycznych w tym kraju, oraz wynikających z takiego stanu rzeczy stagnacji gospodarczych, Meksyk od dłuższego już czasu nie wywiązywał się ze swych zobowiązań, nawet wtedy, gdy srebro stało na swym normalnym parytecie w stosunku do złota. Występujący w obronie interesów wierzycieli Międzynarodowy Komitet Bankierów w sprawie Meksyku, na którego czele stoi Thomas W. Lamont, główny filar nowojorskiego domu bankowego J. P. Morgan et Co., już dwukrotnie w okresie powojennym zawierał umowy z rządem meksykańskim, na mocy których zostały odraczane terminy spłat nietylko samego kapitału, ale i odsetek.

Ostatnia taka umowa, trzecia z rzędu, została zawarta w końcu stycznia r. b. Interesuje nas ona właśnie ze stanowiska zagadnienia srebra. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że ostatnia umowa redukuje znacznie cały stan zadłużenia Meksyku i jego kolei państwowych, nowa bo-

wiem suma długu, zamiast figurującej dotychczas 500 miljonów dolarów, została ustalona w wysokości 350 miljonów dolarów. Poniżej podajemy główne ustępy oficjalnego komunikatu w sprawie tej umowy z dnia 29 stycznia roku bieżącego.

„Meksykański minister finansów, p. Montes de Oca, podpisał w dniu dzisiejszym z Międzynarodowym Komitetem Bankierów w sprawie Meksyku nową umowę, uzupełniającą i zastępującą układ dłużniczy pomiędzy stronami z dnia 25 lipca 1930 r. Od chwili podpisania tego układu meksykański peso srebrny stracił tyle na swej wartości, że rząd, którego dochody wpływają głównie w monecie srebrnej, musiał stwierdzić, iż jego zdolność płatnicza w złocie uległa w dużym stopniu obniżeniu, wskutek czego nie jest on w stanie, w granicach dochodów i potrzeb budżetowych, dostarczyć wymaganej przez układ dłużniczy ilości złota. Nowa umowa zatem upoważnia rząd do odroczenia konieczności wypłat w złocie z tytułu jego zadłużenia na okres nie dłuższy ponad dwa lata, zachowując jednocześnie główniejsze punkty układu z dnia 25 lipca. Innemi słowy, działanie całego planu układu dłużniczego w tej jego części, która dotyczy wypłat w złocie wszystkim posiadaczom obligacji rządu meksykańskiego, zawiesza się na okres dwóch lat, poczynając od 1 stycznia 1931 roku. W międzyczasie rząd meksykański, w myśl ostatniej umowy, będzie wpłacał na rachunek Międzynarodowego Komitetu Bankierów w monetach srebrnych nominalną równowartość rat, wyznaczonych w umowie na okres 1931—1932 r., t. j. 25,500,000 dolarów U. S. A. Srebro to będzie lokowane w odpowiedzialnem miejscu w mieście Meksyku. O ile w okresie tych dwu lat sytuacja walutowa i stan kursu srebra pozwoli na zamianę tego srebra na złoto oraz na przekazanie go do Nowego Yorku na rzecz Międzynarodowego Komitetu, plan ten będzie utrzymany. W każdym bądź razie rząd jest odpowiedzialny przed Komitetem za to, aby po upływie dwu lat cała

przewidziana w umowie suma została posiadaczom obligacji całkowicie wypłacona w złocie".

A jeżeli po upływie tego czasu nie zostanie wypłacona w złocie, co wtedy? Były podobno prowadzone rozmowy w tym duchu, że wtedy rząd meksykański byłby zmuszony do rewizji całego budżetu państwowego, co umożliwiłoby odłożenie większej ilości monety srebrnej na pokrycie zadłużenia w złocie. A zmiana budżetu, to zmiana polityki wewnętrznej, której często towarzyszą, zwłaszcza w Meksyku, rewolucje.

W umowie tej jest jeszcze jeden ciekawy szczegół, zapożyczony z planów Dawesa i Younga. Polega on mianowicie na tem, że gdyby waluta niemiecka nie wytrzymała ciśnienia walut innych podczas przekazywania zagranicę wielkich sum reparacyjnych, wskutek czego walucie niemieckiej groziłoby załamanie, wówczas Niemcy uzyskują prawo zawieszenia wypłat i przekazów na okres dwóch lat. Podobna klauzula dwuletniego moratorjum została włączona do wszystkich układów konsolidacyjnych w sprawie długów wojennych, zawartych pomiędzy rządami państw sojuszniczych a rządem Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli zważymy, że poza Meksykiem jest cały szereg państw południowo-amerykańskich, które bądź to już zawiesiły, bądź w najbliższej przyszłości zawieszą spłatę długów, wskutek głównie obniżenia wartości srebra, wówczas uświadomimy sobie rozmiary klęski wszechświatowej, spowodowanej walką złota ze srebrem.

4. SENAT WASZYNGTOŃSKI WOBEC KRYZYSU SREBRA.

Senat Kongresu Waszyngtońskiego jest niewątpliwie najciekawszą na świecie instytucją polityczną. Pomimo doktryny Monroego, żaden z istniejących parlamentów nie poświęca sprawom politycznym i ekonomicznym o charakterze międzynarodowym tyle uwagi, czasu i pracy, jak

to czyni Senat Stanów Zjednoczonych. Pod tym względem ustępują mu już dzisiaj debaty Izby Gmin w Anglji o tak wielkiej i świetnej tradycji. Czyżby i ten szczegół świadczył także o przesuwaniu się kosmopolitycznego punktu ciężkości z Europy do Ameryki?

Osobiście jestem wyznawcą poglądu, że w szeregu przyczyn czysto ekonomicznych — poza przyczynami o charakterze politycznym — obecnego kryzysu światowego na pierwsze miejsce wysuwa się sprawa reparacji niemieckich i długów międzysojuszniczych, która to sprawa, po wejściu w życie planu Younga, przybrała nazwę bardziej ogólną — międzynarodowych długów wojennych. Sfery oficjalne Stanów Zjednoczonych, t. j. rząd i Kongres, są absolutnie głuche na wszystkie odgłosy argumentów, uzasadniających słuszność tego poglądu. Owszem, zgadzają się, że międzynarodowe długi wojenne przyczyniają się w pewnej tylko mierze do pogłębienia kryzysu, czego dowodem jest „moratorjum Hoovera", ale w żadnym wypadku nie należy im przypisywać roli pierwszorzędnej, decydującej, w tej katastrofie ekonomicznej, jaka od 1929 r. spada coraz większym ciężarem na cały świat. Skoro więc stanęli na stanowisku wyłączenia sprawy długów wojennych z szeregu głównych przyczyn obecnego kryzysu, logika faktów oraz poczucie odpowiedzialności mężów stanu najpotężniejszego dziś państwa na świecie, nakazały im szukać innej, głównej przyczyny kryzysu.

Przyznać trzeba, że znaleźli ją bardzo szczęśliwie. . . w srebrze. Potrafili tę przyczynę upozorować tak silnymi argumentami i dokładnemi cyframi, obstawili całą tę sprawę taką powagą światowej racji stanu, że szeroka opinja publiczna, nie mająca możności należytego orjentowania się w poplątanym łańcuchu przyczyn i skutków w dziedzinie międzynarodowych stosunków ekonomicznych i finansowych, musi stanąć na tem samem stanowisku i uznać srebro, a raczej deprecjację wartości srebra w ostatnich dwóch latach, za główną przyczynę obecnego kryzysu.

Nie wdając się na tem miejscu w rzeczową krytykę tej tezy, zgadzając się natomiast z twierdzeniem, że obniżenie wartości srebra spowodowało olbrzymie zaburzenia w gospodarstwie światowem, zatrzymamy się na bardziej szczegółowem omówieniu akcji Senatu Waszyngtońskiego, zmierzającej do wyświetlenia całokształtu sprawy srebra oraz do przeciwdziałania powstałym z niej zaburzeniom gospodarczym.

Prowadząc rozległe stosunki handlowe z krajami srebrnymi, tudzież będąc wierzycielami tych krajów, Ameryka już w 1929 r. zauważyła pewne perturbacje na swym rynku towarowym i pieniężnym, wynikające ze spadku ceny srebra. Niezmiernie czuły na wszelkie tego rodzaju zjawiska gospodarcze Senat podejmuje niezwłocznie kroki w celu zbadania przyczyn tych zjawisk. Ruchliwy organ tego Senatu, komitet do spraw zagranicznych, na którego czele stoi już oddawna jeden z najpopularniejszych senatorów amerykańskich, William E. Borah, wyłania w początkach 1930 r. specjalną komisję do zajęcia się tą sprawą; przewodniczącym komisji zostaje senator Key Pittman, rzeczoznawca w sprawach finansowych i walutowych. Komisja Pittmana, po rocznej blisko pracy, złożyła komitetowi do spraw zagranicznych w dniu 11 lutego r. b. wyniki swych badań z dwiema rezolucjami. Rezolucje te zostały przyjęte w Senacie jednogłośnie w marcu, w przededniu zamknięcia sesji zimowej. Ze względu na bardzo ważną treść tych wniosków, dotyczących całokształtu sprawy srebra, zwłaszcza w odniesieniu tej sprawy do Chin, podajemy je prawie w dosłownem brzmieniu, w tem przekonaniu, że posłużą one do zorjentowania się opinji publicznej Polski w obecnej fazie walki złota ze srebrem, oraz w tych ewentualnych wydarzeniach finansowych i ekonomicznych, których w niedalekiej przyszłości będziemy jeszcze świadkami.

5. TEKST PIERWSZEJ REZOLUCJI.

Otrzymane z Departamentu Handlu dane statystyczne świadczą o tem, że nasz handel z Chinami kurczy się, aczkolwiek stan działań wojennych w Chinach uległ w ostatnim roku znacznej poprawie.

Chiny są obecnie i zawsze były krajem o walucie srebrnej. Chiny posiadają nieznaczną tylko ilość złota. Jednostką pieniądza chińskiego jest tael (tael jest jednostką wagi, a nie monetą), który zawiera w przybliżeniu jedną uncję czystego srebra. Głównym środkiem pieniężnym w obrocie handlowym kraju jest s y c e e. Jest to kawałek srebra o kształcie pantofla wartości 50 taelów.

W obiegu znajduje się kilka rodzajów monet srebrnych. Są to dolary srebrne, bite i wypuszczane przez rząd chiński, oraz dolary meksykańskie; każdy z nich zawiera jednakową ilość srebra, równą dolarowi srebrnemu Stanów Zjednoczonych. Pozatem są także w obiegu pomocnicze monety srebrne, podobne do monet Stanów Zjednoczonych, o wartości 10, 25 i 50 centów.

Wartość i siła nabywcza taela, sycee'a oraz monet srebrnych równa się wartości zawartego w nich czystego srebra, które podlega codziennym wahaniom; wartość ta ustala się codziennie w zależności od notowania ceny srebra. Specjalna komisja brokerów (maklerów giełdowych) w Londynie ustala codzień cenę srebra, która obowiązuje cały świat.

Sytuacja pogarsza się znacznie wskutek tego, że kryzys srebra nie ogranicza się do Chin, a rozpościera się także na Meksyk, Amerykę Południową, Indje, Azję i wszystkie te kraje, które mają w obiegu srebro.

Nasz eksport, zarówno jak i import, uległ znacznej zniżce ze wszystkimi tymi krajami. W okresie 11 miesięcy 1930 r. zniżka ta wyraża się w cyfrach następujących:

nasz wywóz do	Chin	zniżka	27%	w stos. do 1929 r.
„ przywóz z	„	„	36%	„ „

nasz wywóz do	Am. Poł.	zniżka	37%	w stos. do	1929 r.
„ przywóz z	„	„	32%	„	„
„ wywóz do	Meksyku	„	13%	„	„
„ przywóz z	„	„	33%	„	„
„ wywóz do	Indji	„	19%	„	„
„ przywóz z	„	„	30%	„	„

Ludność tych krajów stanowi więcej niż połowę zaludnienia całego świata. Ich siła nabywcza, podobnie jak Chińczyków, została zredukowana do zatrważających rozmiarów; kredyt ich jest poderwany, handel ograniczony i grozi im kompletna ruina.

Cena srebra od stycznia 1929 r. spadła o połowę; w tym czasie wynosiła 57,5 centa za uncję. Dziś wynosi zaledwie 26,5 centa. Normalna cena srebra, t. j. cena przeciętna w okresie szeregu lat przed 1929 rokiem, wynosiła w przybliżeniu 59 centów za uncję. Wahania były bardzo nieznaczne i nie wywierały prawie wpływu na kredyt oraz zobowiązania handlowe, z wyjątkiem okresu wojny światowej, kiedy cena srebra była wyjątkowo wysoką.

Przedwojenna cena srebra (w 1913 r.) była 60 centów za uncję. W latach 1926—1928 przeciętna cena wynosiła 57,5 centów.

Raptowny i bezprzykładny spadek ceny srebra nie mógł być spowodowany nadprodukcją. Roczny przyrost produkcji srebra był na ogół znacznie mniejszy, niż normalny przyrost przeciętnej produkcji wszystkich innych dóbr, jest też zupełnie niewspółmierny z przyrostem ludności i obrotów handlowych.

Oto kilka danych, ilustrujących produkcję srebra:

w 1913	r.	wydobyto	225,686,923	uncji	
„ 1923	„	„	240,169,264	„	
„ 1928	„	„	254,869,163	„	
„ 1929	„	„	261,265,718	„	(rok wys. konj.)
„ 1930	„	„	225,000,000	„	(oblicz. teoret.)

Podczas, gdy nie było nadprodukcji srebra, dała się jednak odczuć nadmierna podaż jego na wszystkich rynkach świata. Przyczyną tego raptownego, silnego i bezprzykładnego spadku cen srebra był dumping na wszystkie rynki światowe olbrzymich ilości sztab srebra, pochodzących z przetopienia monet srebrnych w Indjach oraz ze zdeprecjonowania monet srebrnych w Wielkiej Brytanji, Francji, Belgji i innych krajach.

Rząd Brytyjski w Indjach, poczynając od 1928 roku, rzucił na rynki światowe wielkie ilości takiego srebra i czyni to nadal, nie bacząc na zatrważająco niską jego cenę. Według wiarogodnych źródeł, rząd Indji dysponuje jeszcze takim srebrem w ilości 400,000,000 uncji, które może rzucić na rynek, i niezawodnie to uczyni, o ile dotychczasowa polityka nie będzie zaniechaną.

Będzie rzeczą niezmiernie trudną, może nawet niemożliwą, podniesienie ceny srebra do poprzedniej normy lub chociażby powstrzymanie jej od dalszego spadku, o ile rząd Indji nie zaniecha swej polityki w stosunku do srebra.

W zakończeniu rezolucja odwołuje się do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby podjął rokowania z rządami Indji, Wielkiej Brytanji, Francji, Belgji i innych krajów, w celu ustalenia sposobów zaniechania obecnej praktyki przetapiania monet srebrnych i sprzedaży srebra z ramienia rządów oraz przeciwdziałania nienormalnym wahaniom i dalszemu spadkowi cen srebra.

W związku z tem rezolucja prosi Prezydenta, aby zwołał lub spowodował konferencję międzynarodową, któraby miałaby na celu powzięcie obowiązujących uchwał w sprawie srebra, jako środka pieniężnego.

6. TEKST DRUGIEJ REZOLUCJI.

Rząd narodowy Chin, zgodnie z jednomyślną opinją Senatu, jest rządem dobrym i zadowalającym naszych obywateli, pozostających w stosunkach handlowych z Chinami.

Chiny od szeregu lat cierpią na niesnaski wewnętrzne

i dotkliwie odczuwają demoralizujące skutki wojny. Działania wojenne jednakże były kierowane nietyle przeciwko rządowi narodowemu Chin, ile przeciwko lokalnej administracji rządowej. Poszczególni generałowie zdradzali niecierpliwość, albowiem administracja rządu narodowego nie realizowała, czy też nie miała możności realizowania programu i zadań, dotyczących rozwoju Chin. Ludność w swej masie, która normalnie jest pokojową, uczciwą i zdolną, była niewoloną do zaciągania się w szeregi armji, by tą drogą zdobyć pożywienie. Zwycięski rząd narodowy Chin zdołał prawie całkowicie usunąć zatargi międzynarodowe, walczy tylko jeszcze z poszczególnemi grupami bandytów.

Jednakże rząd narodowy chiński jest pozbawiony pieniędzy na szybkie przeprowadzenie zamierzonych reform i dostarczenie tą drogą zatrudnienia dla miljonowej, głodnej i pozbawionej pracy ludności. Dochody państwowe, stojące do dyspozycji rządu, są już w znacznej mierze przeznaczone na spłatę zobowiązań. Jest rzeczą prawie niemożliwą, ze względu na istniejące traktaty oraz stan wewnętrzny kraju, podnieść w stopniu wybitniejszym opodatkowanie ludności.

Na rozwój Chin wpływa ujemnie brak udogodnień transportowych i komunikacyjnych, w które zaopatrzony jest głównie tylko pas nadbrzeżny. Chiny posiadają zaledwie siedem czy osiem tysięcy mil dróg, które w Stanach Zjednoczonych można byłoby nazwać drogami automobilowemi. Dróg żelaznych liczą Chiny 7,500 mil (mila amerykańska — 1,6 kilometra).

Źródła autentyczne wykazują, że w Chinach z głodu i nędzy ginie codzień 20.000 osób. Należy dać tej ludności pracę, inaczej wojna będzie w Chinach zjawiskiem stałem.

Rząd narodowy Chin nie jest w stanie zrealizować swego programu reform i pacyfikacji bez moralnej, intelektualnej i finansowej pomocy ze strony tych narodów, które ze stosunków handlowych z Chinami czerpią korzyści i które mają możność pomoc taką okazać.

Dane, w których posiadaniu jest Senat, świadczą o tem, że pacyfikacja Chin, zarówno jak i zaprowadzenie udogodnień transportowych, wywołałyby w ciągu paru zaledwie lat kilkakrotne zwiększenie obrotów handlowych.

Ludność Wschodu i krajów podzwrotnikowych z niedowierzaniem odnosi się do pieniędzy papierowych. Posługiwała się ona zawsze srebrem, jako pieniądzem, gdyż jest ono praktycznie niezniszczalnem; zachowuje je, zakopując do ziemi, wytwarzając z niego kosztowności i używając go w charakterze różnych ozdób.

Zarobki w Chinach są tak niskie, iż robotnik musiałby miesiące całe pracować, zanim mógłby zaoszczędzić kawałek złota dostatecznej wielkości, aby go mógł przechować. Warunki gospodarcze, zarówno jak i obyczaje ludności chińskiej, są tego rodzaju, że, gdyby to nawet skądinąd było możliwe, zaprowadzenie waluty złotej lub jakiejkolwiek innej, niż srebrnej, wymagałoby bardzo długiego okresu czasu.

Chiny, aby móc sprostać dzisiejszym trudnościom, potrzebują srebra. Udzielenie Chinom srebra w celu bicia z niego drobnych monet, aby umożliwić opłacanie robotników oraz nabywanie materjałów, niezbędnych do wewnętrznego rozwoju — za zgodą tych, którzy srebra udzielą — spowodowałoby pacyfikację i dobrobyt w Chinach, w związku z tem zwiększyłoby obroty handlowe ze Stanami Zjednoczonymi, oraz innymi krajami.

Chiny stanowią naturalny rynek dla Stanów Zjednoczonych. Z wyjątkiem Japonji, kraj nasz jest najbliższym potężnym sąsiadem Chin. Wzajemna przyjaźń nasza datuje się od czasów niepamiętnych. O ile będziemy zdolni okazać ludności chińskiej pomoc w jej rozwoju gospodarczym, w dostarczeniu jej pracy i zarobków, zdobędziemy wzamian rynek zbytu dla większej części nadwyżki naszej wytwórczości. Chiny z chwilą, gdy zapanują w nich pokój i warunki rozwoju gospodarczego, znajdą się w posiadaniu więcej niż dostatecznych źródeł dla pokrycia wszelkich

kredytów, które w tej pracy rozwojowej mądrze zużyte być mogą.

Rezolucja kończy się prośbą, skierowaną do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, by zechciał podjąć rokowania z rządem narodowym Chin oraz z rządami innych państw, co do wyboru których nastąpi obopólne porozumienie pomiędzy Chinami a Stanami Zjednoczonymi; rokowania te miałyby na celu okazanie moralnej, intelektualnej i finansowej pomocy rządowi narodowemu Chin. W dalszym ciągu Prezydent miałby poddać rozwadze i obradom możliwość:

a) utworzenia pool'u srebrnego lub specjalnego funduszu, który zasilałby rząd narodowy Chin srebrem dla celów monetarnych; srebro to w sposób szczegółowo omówiony byłoby przeznaczone na użytek, także szczegółowo omówiony; prócz tego, zostałyby ustalone terminy i sposoby zwrotu tego srebra;

b) wykorzystania rezerwy dolarów srebrnych, znajdujących się w skarbcu Stanów Zjednoczonych, w związku z utworzeniem takiego pool'u srebrnego lub w związku z zaopatrzeniem Chin w srebro dla celów monetarnych;

c) zaopatrzenia Chin w metal srebrny bez żadnych zastrzeżeń co do jego relacji do złota, ani też co do wartości rynkowej, z tem, że zwrot nastąpiłby także w metalu.

(Dok. nast.) **Aleksander Laczysław.**

POLITYKA ZBOŻOWA SOWIETÓW.

Lata powojenne przyniosły ludzkości już wiele rozczarowań i niejedno zapewne jeszcze przyniosą. W miarę, jak oddalamy się od okresu wojennego, sytuacja wikła się coraz bardziej, zamiast się wyjaśniać. Upragniona chwila powrotu do „normalnych“ warunków gospodarczych wydaje się dziś bardziej odległa, niż w dniu zawarcia pokoju, a coraz to trudniejsze do rozwiązania problemy nasuwają przypuszczenie, że życie potoczy się dalej swoją koleją i raczej trzeba będzie myśleć o przystosowaniu się do warunków nowych. Wśród tych problemów jednym z najpoważniejszych jest t. zw. dumping sowiecki. Powrót Rosji na widownię świata gospodarczego przypadł w okresie rozpętania największego w jego dziejach kryzysu. W świecie politycznym uznanie rządu sowietów nastąpiło po okresie wyczekiwania, przyczem nie brakło głosów, przepowiadających im rychły upadek. Podobnie i świat gospodarczy przyjął dumping sowiecki tak, jak się przyjmuje klęskę powodzi, która przecież wiecznie trwać nie może.

Jednym z główniejszych elementów obecnego przesilenia jest bez wątpienia kryzys cen. Dumping sowiecki był tym dodatkowem obciążeniem, pod którem sztucznie podpierany gmach cen ostatecznie runął. Wybór dalszej taktyki walki z kryzysem niewątpliwie zależeć będzie od uświadomienia sobie, czy zalew sowiecki przybrał formę gwałtowną i względnie krótkotrwałą, czy też podmywać będzie powoli, lecz długo fundamenty naszego życia gospodarczego. Sowiecka ekspansja gospodarcza przybrała podwójną formę: szybkiej rozbudowy przemysłu rodzimego i dumpingu na rynkach zewnętrznych. Rzeczy te zresztą, jak wiadomo, silnie się ze sobą wiążą: potrzebne do rozbu-

dowy kraju kapitały Sowiety zdobywają dzięki eksportowi swych wytworów rolnych, bądź przemysłowych, po bezkonkurencyjnych cenach.

Rozbudowa sowieckiego przemysłu jest kwestią niezmiernie skomplikowaną; zajmować będzie ona niewątpliwie umysły czas jeszcze długi, stanowi bowiem sama w sobie niewyczerpany temat obserwacji i przewidywań. W szkicu tym dotykać jej będziemy o tyle, o ile wpływa ona na rozwój stosunków rolniczych, które są głównym naszym tematem.

Jak zaś w dziedzinie rolniczej układa się przyszłość, spróbujemy odpowiedzieć sobie po przeprowadzeniu analizy sytuacji. Niestety wszelkie niemal prace, tyczące się obecnej Rosji, opierają się na urzędowym materjale sowieckim, który nie daje dostatecznej gwarancji bezstronności.

Również obserwacje osób, zwiedzających dzisiejszą Rosję, mają tylko względną wartość wobec tego, że nie wszystko można dziś w Rosji zobaczyć i do gruntu zbadać. Dlatego obecny obraz Rosji należy brać z dużem zastrzeżeniem i być bardzo ostrożnym w wyprowadzaniu wniosków.

Chcąc się zorjentować w rozmiarach i możliwościach sowieckiej ekspansji rolniczej, musimy zestawić ją z cyframi przedwojennemi. W latach 1909 — 1913 udział rosyjskiej produkcji w stosunku do produkcji całego świata (bez Rosji) przedstawiał się, jak następuje *):

Obszar zasiewu w milj. ha

	pszenica	żyto	jęczmień	owies	kukurydza
Rosja	29,9	25,1	10,5	16,7	1,3
Świat bez Rosji	79,4	19,5	23,9	41,1	70,4
w %	37,7	128,7	43,9	40,7	1,8

*) Te i następne cyfry, odnoszące się do zasiewów, produkcji i obrotów handlowych, zaczerpnięte zostały z roczników i miesięcznych biuletynów statystyki rolniczej Międzynar. Inst. Roln. w Rzymie.

Produkcja w milj. q

Rosja	206,0	189,1	90,5	134,3	13,4
Świat bez Rosji	822,6	261,3	289,7	521,2	1045,3
w %	25	72,4	31,2	25,8	1,3

Widzimy zatem, jak poważny był udział Rosji w produkcji światowej w zakresie głównych zbóż. Znaczenie Rosji staje się jeszcze widoczniejsze, jeśli wziąć pod uwagę nie produkcję, ale obrót handlowy.

W latach 1909—1913 stosunek ten był następujący *):

średnia roczna w miljonach kwintali

	pszenica	mąka pszenna	żyto	jęczmień	owies	kukurydza
Eksport rosyjski	41,2	1,2	5,3	37,0	10,7	7,5
Import europejski	114,8	4,1	5	44,1	19,7	45,3
w %	35,9	29,3	1,06	83,9	54,3	16,6

Widzimy zatem, że eksport rosyjski pokrywał w znacznym stopniu import pozostałych krajów Europy. Eksport żyta pokrywał w zupełności zapotrzebowanie Europy. Eksport jęczmienia zbliżał się do cyfry zapotrzebowania, eksport owsa stanowił nieco więcej, niż połowę, pszenicy nieco mniej, niż połowę — jedynie eksport kukurydzy stanowił stosunkowo nieznaczny % zapotrzebowania europejskiego. Słusznie zatem można było uważać Rosję, jako śpichlerz Europy.

Stanowisko Rosji, jako eksportera, stanie się jeszcze bardziej zrozumiałe w zestawieniu z obecnymi największymi eksporterami świata:

Przeciętna roczna cyfra eksportu netto w latach 1909 — 1913 (w miljonach kwintali):

		pszenica	mąka pszen.		żyto	jęczmień	owies	kukurydza
Ameryka	Półn.	33,9	10,3		0,2	2,9	2,1	5,6
„	Połudn.	20,8	÷12,—	(import)	—	0,4	6,4	29,3
Australja		11,6	1,3		—	—	—	—
	Razem	66,3	÷ 0,4	(import)	0,2	3,2	8,5	34,9
Rosja		41,2	1,2		5,3	37,0	10,7	7,5

*) Corn Trade News.

Śmiało zatem można powiedzieć, że Rosja zajmowała wśród eksporterów światowych stanowisko dominujące.

Stanowisko to utraciła Rosja w czasie wojny na rzecz krajów zamorskich, przedewszystkiem Kanady, Argentyny i Australji.

W pierwszej chwili po wycofaniu się Rosji z rynku światowego powstała znaczna luka, która jednak w dość szybkim czasie została wypełniona. Ilustruje to wzrost eksportu pszenicy z głównych krajów zamorskich:

Wywóz netto w miljonach q

Przeciętne:	Kanada	St. Zjedn.	Argentyna	Australja
1909 — 1913	20	14	21	11
1921 — 1925	56	38	33	20
1926 — 1929	73	30	45	18

W tym okresie czasu, t. j. między r. 1914 a 1929, kwestja rosyjskiego eksportu była raczej zagadnieniem teoretycznem. Były wprawdzie lata, kiedy nawet nasz eksport żytni odczuwał konkurencję rosyjską, był to jednak okres względnie wysokich cen i dlatego nie można go nawet porównywać ze wstrząsem, jaki towarzyszył powrotowi Rosji na rynek w r. 1929. Wstrząs był tem silniejszy, że eksport w r. 1929/30 nastąpił po roku niemal kompletnego zastoju, co widać z poniższej tabeli:

Eksport rosyjski w miljonach q w latach gospodarczych (1.X — 30.IX *)

	1929/30	1928/29	1927/28	1926/25	1925/26
Pszenica	9,2	—	1,0	11,9	7,2
Żyto	3,2	—	1,0	4,1	1,5
Jęczmień	7,9	—	0,04	2,6	8,3
Owies	1,3	—	0,3	0,6	0,2

W jesieni 1929 wystąpiła Rosja na rynek odrazu ze znaczniejszemi partjami z początku głównie jęczmienia. Wywołało to naturalnie obniżkę cen, które zresztą uważa-

*) Corn Trade News.

ne były już wówczas za niezmiernie niskie, mimo, że poziom ich leżał wówczas jeszcze znacznie powyżej przedwojennego.

Po pewnem osłabieniu eksportu w lipcu i sierpniu 1930 r. przyszły dalsze sprzedaże jęczmienia w ilościach jeszcze większych. Wywołało to dalszy spadek cen.

Eksport żyta rosyjskiego rozpoczął się nieco później, miał jednak analogiczny wpływ na rynek świaowy, jak eksport jęczmienia.

Jeszcze później uległ załamaniu rynek pszeniczny (mniejwięcej w pół roku po wielkich ekspedycjach jęczmienia).

Dla całego świata eksport rosyjski był prawdziwą niespodzianką i to z dwóch powodów: po pierwsze, że przyszedł tak szybko i w takich ilościach, po drugie, że posiadał tak silną organizację.

Dla nas najważniejsze znaczenie ma fakt, że powróciwszy po tylu latach nieobecności na rynek, Rosja zdołała go za jednym zamachem odzyskać i utrzymać w najtrudniejszych warunkach, zmuszając przeciwnika do kapitulacji.

Działały tu dwa czynniki: możność eksportu, dzięki zwiększeniu produkcji i konieczność zdobycia za wszelką cenę walut obcych.

Zagadnienia sowieckiego eksportu zbożowego nie można zrozumieć, o ile traktuje się go w oderwaniu od całokształtu polityki państwowej.

Polityka ta wymaga zdobycia walut obcych na rozbudowę rodzimego przemysłu. Jest to jednak rzecz zbyt ogólnie wiadoma, a odbiegająca od naszego tematu, byśmy się dłużej nad nią mogli tutaj zastanawiać.

Należy zwrócić tylko uwagę na jedną sprawę. System sowiecki obejmuje całokształt życia gospodarczego. Dzięki zastosowaniu przymusu pracy, zostało wyeliminowane współzawodnictwo, a państwo, jako jedyny przedsiębiorca, ustanawia wysokość wynagrodzenia. To wynagrodzenie jest w dużym stopniu w naturze (znany system zaopatry-

wania przez kooperatywy). Cały system wynagrodzenia jest tak skonstruowany, że niepodobna mówić o rentowności handlu zbożem. W świecie kapitalistycznym żadna firma tego rodzaju eksportu prowadzićby nie mogła. W Rosji jest to jednak możliwe i najwyżej może być mowa tylko o tem, czy system sowieckiej gospodarki, jako całość, wytrzyma próbę czasu.

Jak widzimy, zagadnienie rentowności nie wstrzymało Sowietów od forsowania eksportu. Wielu jednak ludzi sądziło, że hamulcem wywozu stanie się nadmierne wygłodzenie ludności.

Spójrzmy zatem, co mówią cyfry.

Obszar zasiewu w miljonach ha

	pszenica	żyto	jęczmień	owies
Średnia 1924/5—1928/9	29,4	27,7	7,1	16,7
w r. 1929/30	33,9	29,2	7,4	17,9
w r. 1930/31	37,4	28,3	6,9	17,2

Widzimy zatem znaczny wzrost obszaru obsiewu w zestawieniu zarówno z przeciętną 1924/25, jak i latami przedwojennemi.

Tak znaczny i szybki wzrost produkcji zbożowej znalazł odbicie we wzroście równie szybkim zdolności eksportowej. Widzimy to z poniższej tablicy:

Nadwyżki eksportowe Rosji w latach gospodarczych (od 1.VII do 31.VII):

na 1/VIII	1930/31	1929/30	1928/29
Pszenica w milj. q	25	2	0

O natężeniu eksportu sowieckiego świadczy to, że do dn. 31 marca 1931 r. z całej przeznaczonej do eksportu ilości 25 milj. q zostało wyeksportowane 24 milj. q. Nadwyżki eksportowe pszenicy na kampanję 1931/32 Corn Trade News oblicza w kwocie 32.658.000 q. Z czego do dnia 6.X już wywieziono przeszło 11 milj. q (przeszło $^1/_3$).

Tak niezwykły wzrost produkcji i w związku z tem

aktywności sowieckiego eksportu musiał mieć głębsze podłoże.

Odpowiedź znajdziemy po zapoznaniu się z ewolucją sowieckiego ustroju, jaki się dokonał w ciągu ostatnich kilku lat *).

W wyniku rewolucji stan posiadania chłopa rosyjskiego zwiększył się o przeszło 50 miljonów ha ziemi.

W latach 1918 — 1921 wykonano pierwszy nowy podział ziemi z uwzględnieniem liczby ludności wiejskiej bez różnicy płci i wieku, przy równoczesnej likwidacji własności zamożniejszego włościaństwa. Dopiero jednak w 10 lat po rewolucji zdecydowały się Sowiety zastosować bardziej radykalne metody przezwyciężenia zastoju w rolnictwie. Indywidualnemu kierunkowi przedwojennej reformy stołypinowskiej przeciwstawiły kolektywizację wsi, czyli t. z. „socjalistyczne przeobrażenie wsi".

Według statystyki rosyjskiej z r. 1927 „proletarjat" wiejski i małorolni stanowili 29,3%, posiadacze średnich gospodarstw 66,8%, „kułacy" 3,9% ludności małorolnej. Ubóstwo wsi rosyjskiej przejawia się przedewszystkiem w niskim stanie inwentarza.

W r. 1928 24% właścicieli gospodarstw nie posiadało krowy, a ponad 30% nie roporządzało siłą pociągową.

Brak odpowiedniej siły pociągowej stanowi bodaj ważniejszą przyczynę złej uprawy, niż nieumiejętność.

Dlatego największym sprzymierzeńcem kolektywizacji okazał się traktor. Zyskał on sobie odrazu ogromną popularność.

W tem też zagadnieniu leży tajemnica szybkiego względnie postępu kolektywizacji. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę, że ruch kolektywny nie nosi bynajmniej cech ruchu samorzutnego. Wskazuje na to jego historja.

*) Opis procesu kolektywizacji i najważniejsze cyfry przytaczam tu za Otto Schillerem: „Kolektywizacja rosyjskiego rolnictwa". Czasopismo „Rolnictwo", kwiecień 1931 r.

Pierwsze kolektywy (kołchozy) powstają w Sowietach w r. 1918. Składały się one niemal wyłącznie z proletarjatu oraz małorolnych. Silniejszy rozwój kolektywizacji przypada na okres t. zw. „wojującego komunizmu“. Między rokiem 1919 a 1921 wzrosła ilość kolektywów z 1.600 do około 17.000. Okres „Nep‘u“, t. j. nowej polityki ekonomicznej, stanowi początek kryzysu dla kolektywizacji wsi.

W latach 1921 — 1926 znaczna część kolektywów uległa likwidacji. W okresie „Nep‘u“ rolnictwo rosyjskie dźwignęło się z upadku. Przestrzeń uprawna i stan inwentarza poczęły zbliżać się do stanu przedwojennego. W latach 1924 i 1925 Rosja zaczyna po raz pierwszy od czasów wojny wywozić swe sboże. Jednocześnie zaczęła się wzmacniać warstwa „Kułaków“. Obudziło to czujność Sowietów; na XV konferencji partji nakreślono dalszy kierunek polityki agrarnej, mającej na celu zniszczenie „kułaków“.

Ten nacisk ze strony rządu przyśpieszył ogromnie proces kolektywizacji, który pod względem ilościowym przekroczył znacznie granice, zakreślone przez same Sowiety: ilość gospodarstw kolektywnych z 17.000 w r. 1921 doszła w r. 1929 na 1.VI do 60.282. Nic dziwnego, że w tych warunkach jakościowy stan gospodarstw kolektywizowanych pozostawiał dużo do życzenia. Mimo to kolektywizacja w nowej swej fazie przyniosła znaczne korzyści. Przedewszystkiem umożliwiła zmechanizowanie uprawy, tem samem wpłynęła na zwiększenie wydajności ziemi.

W r. 1930 w 22 okręgach administracyjnych wprowadzono typ wielkich gospodarstw kolektywnych. Przypada na nie 25 do 85% z ogólnej liczby gospodarstw włościańskich, zależnie od rejonu.

Łączenie się poszczególnych kolektywów w kolektywy zbiorowe stanowi formę przejściową do kompletnego skolektywizowania wsi. Proces ten wymaga rozszerzenia uprawy traktorowej. W tym celu powstają nowe fabryki

i stacje maszynowe. Naturalnie nadmiernie szybki rozwój kolektywiacji stwarza znaczne trudności, głównie z powodu braku odpowiedniej obsługi i instruktorów. Niemniej system ten niewątpliwie daje rządowi więcej zboża do dyspozycji, niżby było możliwe wydostać z gospodarstw chłopskich.

Natomiast dochód chłopa rosyjskiego, należącego do kolektywu, jest bezwątpienia mniejszy; staje się on proletarjuszem, często pozbawionym nawet pracy, której zmuszony jest szukać gdzieindziej. Ponadto zadłużenie kolektywów jest znaczne. Jednak nawet niepowodzenie kolektywu nie prowadzi do likwidacji: poprostu położenie członków staje sią przez to cięższe i zmusza do obniżenia stopy życiowej. W latach wyjątkowo nieurodzajnych państwowe organizacje kredytowe przychodzą z pomocą w postaci prolongaty kredytu.

Wten sposób, dzięki kolektywizacji, wieś rosyjska popadła w znacznie większą zależność od rządu.

Sproletaryzowanie i uzależnienie wsi oraz możność wyciągnięcia z niej większej ilości zboża stanowią dla Sowietów niezbędne oparcie w ich planach uprzemysłowienia Rosji. Dlatego bez przesady można powiedzięć, że bez skolektywizowania wsi utrzymanie regimu sowieckiego jest nie do pomyślenia.

Inny obserwator i znawca stosunków rolniczych w Sowietach, Dr. Fr. Boade *), uzależnia wprost przyszłość rolnictwa niemieckiego od załamania się planu sowieckiego.

Po gruntownej jednak analizie nie daje ostatecznej odpowiedzi co do przyszłości planów sowieckich.

Niewątpliwie odpowiedź ta nie jest łatwa. Dla każdego, kto zna Rosję, przedstawia się ona jako kraj olbrzymich możliwości. Możliwości te nigdy nie były wyzyskane w 100%. Wyzyskanie ich było raczej bardzo dalekie od tej cyfry. Jak widzieliśmy z przytoczonych wyżej danych,

---

*) „Rolnictwo", grudzień 1930 r.

zdolności eksportowe Rosji rosły w ostatnich czasach bardzo znacznie. Opierają się one na powiększaniu produkcji, przyczem zmechanizowanie uprawy i sprzętu oraz sproletaryzowanie ludności wiejskiej daje Sowietom możność kontroli produkcji rolniczej.

Gdzie jednak kres tego wzrostu? Na początku nowej kampanji ukazał się artykuł w „Moskiewskich Wiadomościach“ o dalszych planach Sowietów. Obszar obsiewu ma być podniesiony o blizko 50% dotychczasowej przestrzeni. Dzięki zastosowaniu nawozów sztucznych i doborowych nasion zwyżka plonu ma wynieść nawet 60%. Całokształt gospodarki rolnej ma być przeorganizowany i oparty na czysto socjalistycznej podstawie. Czy ta nowa „piatiletka“ rolnicza da spodziewane wyniki — trudno przewidzieć. Z pomyślnych bądź co bądź rezultatów pierwszej „piatiletki“ rolniczej trudno jeszcze wnioskować o dalszych biegu wydarzeń. Wszak postęp w rolnictwie bardziej jest ograniczony, niż w przemyśle, a wzrost dochodowości nie idzie równomiernie ze wzrostem nakładów.

Z drugiej strony jednak Rosja posiada jeszcze olbrzymie rezerwy niezwykle urodzajnej ziemi. Uruchomienie tych rezerw zależne jest od przeprowadzenia komunikacji i zastosowania mechanicznej uprawy.

Jak więc „piatiletka“ przemysłowa uwarunkowana jest powodzeniem sowieckiej akcji rolniczej, tak znów z drugiej strony dalszy rozwój akcji rolniczej zależy od pomyślnego przeprowadzenia „piatiletki“ przemysłowej.

Tu już wchodzimy na bardzo niebezpieczny grunt przewidywań.

Żyjemy w okresie zaognienia sytuacji politycznej na Dalekim Wschodzie.

Trudno dziś przewidzieć, w jakim stopniu dotknie to Rosję i w jakim kierunku wpłynie na wykonanie planów przemysłowych.

Z drugiej znów strony spadek funta już wywołał zaburzenia na rynkach walutowych, a trudno przewidzieć,

jak daleko wpływ ten będzie sięgał. Rosja weszła na drogę gwałtownego uprzemysłowienia za pożyczone pieniądze. Liczy się przytem z ogromną pojemnością rynku wewnętrznego. Lecz ta pojemność mierzy się nie ilością konsumentów, a stopniem ich siły nabywczej. Tu mogą się kryć dla Rosji wielkie rozczarowania. Jeśli siła nabywcza rynku wewnętrznego zawiedzie, będą musiały Sowiety bądź ją zwiększyć, bądź uprawiać dumping przemysłowy. Jednak kraje przemysłowe niewątpliwie bronić się będą przed dumpingiem. Znajdą tu zapewne więcej skutecznych sposobów, niż w obronie przed sowieckim dumpingiem rolniczym, który dla państw, skazanych na import surowców, był mniej dotkliwy.

O ile zatem Sowiety nie ogłoszą bankructwa, będą prawdopodobnie nadal prowadzić dumping rolniczy dla zdobycia obcych walut.

Jeśli zatem Sowiety pójdą na zwiększenie siły nabywczej rynku wewnętrznego, to jedyną drogą będzie tu zwiększenie i potanienie produkcji rolniczej. Rolnictwo, mając więcej zboża, będzie mogło wchłonąć większe ilości towarów przemysłowych.

Zatem w jednym i w drugim wypadku niewątpliwie Sowiety uczynią wszystko, co będzie w ich mocy, by zwiększyć produkcję rolniczą i uczynić ją jaknajtańszą. Trzeba przyznać, że mają po temu warunki. Czy im się to uda? Fachowcy orzekli, że jeśli nawet 40% planu przemysłowego Sowiety wcielą w życie, to i tak będą rezultaty ogromne. Zsocjalizowanie rolnictwa poszło szybciej i dalej, niż sięgały zamierzenia rządu. Gdyby jednak dalszych planów nawet nie urzeczywistniano w przewidzianym tempie, to i tak Sowiety osiągnęły poważne rezultaty: odzyskały przedwojenne stanowisko, jako eksporter i zmusiły do częściowego ograniczenia produkcji te kraje zamorskie, które skorzystały z nieobecności Rosji w dobie powojennej i zajęły jej miejsce na światowym rynku zbożowym.

Rosja może jeszcze przechodzić koleje, których dziś

nawet trudno przewidzieć. Być może, będzie się musiała wycofać z pozycji eksportera, odzyskanej z takim trudem, tak, jak już była zmuszona uczynić to po wojnie. Jednak, jeśli chodzi o linję polityki na daleką metę, niewątpliwie opierać się ona musi na intensywnym wywozie płodów rolnych i każdy rząd, bez wzlgędu na charakter, na eksporcie rolniczym oprzeć się musi.

Wszelka przerwa w eksporcie może być traktowana jako swego rodzaju odstąpienie od zasadniczej linji polityki zbożowej, a więc stan przejściowy, a nie trwały.

Jakież stąd płyną wskazania dla naszej polityki zbożowej?

Otóż przedewszystkiem te, że dzisiejsza walka z kryzysem nie powinna zaciemniać nam dalekich horyzontów zasadniczego problemu, jakim jest nasza pozycja w światowym obrocie produktami rolnymi.

Szukanie doraźnych środków ratunku dla naszych warsztatów rolnych jest nakazem chwili. Pod osłoną jednak tych środków ratunkowych powinno się odbywać przedstawienie naszej produkcji rolnej. Nie jest tu miejsce na omawianie technicznej strony zagadnienia. I samo zagadnienie nie jest tak proste. Musimy jednak wziąć pod uwagę, że z chwilą powrotu Rosji na rynek świaowy, zamorskie kraje eksportujące, straciwszy olbrzymie sumy na interwencję, zmarnowawszy swe organizacje zbożowe i doprowadziwszy do bankructwa wiele firm zbożowych, musiały wreszcie ustąpić — czego dowodem zmniejszenie obszarów obsiewu. W tych warunkach nie możemy poprzestać na ratowaniu naszej produkcji rolnej od konjunktury do konjunktury, które wszak przychodzą tak rzadko, lecz szukać sposobów, zapewniających egzystencję w siąsiedztwie olbrzyma sawieckiego, który groźny jest tem, że nietylko może, ale i musi dużo i tanio produkować i eksportować.

Janusz Łoś.

KILKA RYSÓW SPRAWY UKRAIŃSKIEJ.

Tylekroć wałkowany temat w naszej prasie politycznej — a przecież tak niedokładnie znany naszemu społeczeństwu! Poznać go zaś trzeba — sine ira et studio.

Najwięcej danych do poznania Ukraińców mieliby Polacy wschodnio-małopolscy, ze względu na sąsiedztwo, przeszkadza im w tem jednak znacznie trudność współżycia na tle zadrażnionych silnie stosunków. Zagadnienie tej symbiozy jest tembardziej doniosłe, że dotyczy bardzo silnej liczebnie mniejszości, która nadto w ostatnich dziesięcioleciach przeszła znamienną ewolucję nacjonalistyczną. Brak programu, platformy politycznej ze strony społeczeństwa polskiego—niedawno wytykany w „Czasie" krakowskim— utrudnia politykę polską w tym kierunku, a rozpiętość nastrojów i poglądów różnych ugrupowań politycznych w Polsce jest w tej mierze zjawiskiem wprost niezdrowem. Skala od zasadniczo-negatywnego i eksterminacyjnego stanowiska narodowej demokracji, do ultraliberalizmu socjalistów — jest niewątpliwie za szeroka. Oba powyższe skrajne ujęcia równie są niebezpieczne. Chociaż na Ukraińców, dawniej — do XIX wieku włącznie, a i potem — zwanych Rusinami (kraj ich, Ukrainę, zwano do niedawna jeszcze nawet i w nauce ukraińskiej „Ruś-Ukraina"), polityka czy nauka tak narodów słowiańskich, jak i innych, patrzy rozmaicie, bądź to przyznając im „narodowość" odrębną, bądź też ją negując — to jednak, nie chcąc ulec bezpłodnemu, absolutnemu sceptycyzmowi, należy ustalić wytyczne jej traktowania.

Często jeszcze — mimo wszystko — spotkać się można z teorją, głoszącą, że Rusini właściwie narodem nie są, dadzą się łatwo zasymilować, nie mają odrębnego języka,

ni jednolitej przeszłości historycznej, nie posiadają dostatecznej kultury narodowej, ani zdolności państwowo-twórczych. Stwierdzić więc trzeba, że jednak istnieje ciągłość dziejowa ukraińsko-ruska, jak i tradycja włodzimiersko-halicko-ukraińska, aczkolwiek według t. zw. Nestora ziemie przemysko-czerwieńskie były istotnie polskie. Co do języka zaś — jest faktem, że pojęcia narzecza (djalektu) i mowy samodzielnej są dosyć względne. Dialekty niemieckie np. często bardziej są od siebie wzajem odległe, niż samodzielne języki słowiańskie. U Niemców jednak wspólny język literacki przechylił szalę na korzyść ewolucji zbiorowej, gdy u Słowian zwyciężył centryfugalizm i kierunek dyferencjacyjny. Samorzutne odrodzenie Słowiańszczyzny w w. XIX ilustruje to najlepiej *).

Język ukraiński — w porównaniu z czeskim, bułgarskim, serbskim, słowackim i słoweńskim — ma swoją wcale pokaźną literaturę piękną i naukową, znaczenie zaś oficjalne uzyskał już był niedługo przed wojną w państwach zaborczych. Co więcej, językiem tym, używając jedynie nieznacznych jego odcieni, mówi wielomiljonowy naród, który specjalnie na Ukrainie małą i często jedynie lokalną posiadał samoświadomość, ale którego samopoczucie w latach wojennych i zwłaszcza powojennych wydatnie wzrosło. Niewątpliwie też uznanie języka ukraińskiego za oficjalny na terenie Ukrainy sowieckiej, używanie go w szkolnictwie, we wszystkich działach teatru etc., niepomiernie przyczyniło się do t. zw. ukrainizacji.

Popieranie ukrainizmu przez bolszewizm miało jednak charakter kaptowania sojuszników w walce z kontrrewolucją rosyjską, a wyniki jego znacznie przeszły oczekiwania protektorów, wzrastając wprost do rozmiarów dosyć poważnego dla nich niebezpieczeństwa. Z kwestją ukraińską

---

*) Por. pracę p. t. „Iliryzm i Słowiańszczyzna. Studja nad odrodzeniem chorw.“ (Lwów 1924, Księg. Naukowa).

należy się zatem poważnie liczyć w państwach, w których znajduje się liczny żywioł ukraiński.

Na terenie b. Austro-Węgier element ukraiński miał poparcie ze strony polityki austrjackiej i niemieckiej, w myśl dawnej zasady „divide et impera“; fakt tego poparcia wywołał błędne wrażenie u wielu, sądzących zbyt pośpiesznie, że Ukraińców wogóle stworzyli Austrjacy ad usum swej polityki, gdy tymczasem przyspieszyli oni tylko rozwój ukraiński w Galicji. My, Polacy, musimy stworzyć pewną logiczną platformę wobec kwestji ukraińskiej: mamy traktatowe zobowiązania międzynarodowe względem mniejszości ukraińskiej i musimy głęboko i wszechstronnie obmyśleć sposoby ich realizacji.

Stanowczo pierwszem zadaniem naszem musi być przyzwyczajenie mniejszości ukraińskiej do liczenia się z polską racją stanu, a więc poniekąd a s y m i l a c j a p a ń s t w o w a Ukraińców, b e z s p e c j a l n e j t e n d e n c j i a s y m i l o w a n i a n a r o d o w e g o, które zresztą nie dałoby się zrealizować na większą skalę.

Wiemy, że rozdrażnione świeżą przeszłością i rozagitowane społeczeństwo ukraińskie w Małopolsce Wschodniej nie odnosi się przychylnie do Polaków i do państwowości polskiej. W tej mierze słyszymy często zdania, że możnaby się spokojnie porozumieć z narodem, ludem wiejskim, ponad głowami i bez pomocy inteligencji i kleru. Otóż, na Ukrainie (zakordonowej), w której samoświadomość narodowa jest jeszcze — mimo wszystko — wciąż in statu nascendi, której ideałem podczas ostatnich walk był raczej watażka Machno, niż orędownik niepodległości Petlura i gdzie nieliczną inteligencję nacjonalistyczną z pewnem powodzeniem gnębi bolszewik, można — teoretycznie rzecz biorąc — w kwestjach specejalnych zwracać się wprost do ludu. Inaczej natomiast jest pod tym względem w Małopolsce Wschodniej, w której mamy do czynienia z nader liczną i dość zwarcie zorganizowaną inteligencją, mającą w dodatku w wielu stronach bardzo znaczny i bezpośredni

kontakt z ludem wiejskim, z którego często nawet w pierwszem pokoleniu pochodzi. Z pewnością nie należy pogardzać żadnym odpowiednim środkiem przy wykonywaniu tak ważnego zadania; a więc i kontakt polski z ludem ukraińskim, a zwłaszcza w dziedzinie kooperatyw i służba w wojsku polskiem mogą do pewnego stopnia ułatwić asymilację państwową żywiołu ukraińskiego. Ale zupełnie zlekceważyć liczebnie silnej i nienajgorzej bądź co bądź zorganizowanej jego inteligencji — niepodobna. Inna rzecz, że — jak trafnie ujmuje sprawę tę Dr. Jan Bobrzyński — leaderzy stronnictw ukraińskich w Polsce częstokroć nie wiedzą, gdzie się ich partje właściwie kończą, nie mogą też dawać istotnych gwarancji, a ewentualne zrobienie z nimi np. jakiegoś kompromisu absolutnie nic nam nie gwarantuje. Faktem jest jednak, iż zupełnie lekceważyć tego czynnika nie sposób. A z nim wiąże się ściślej zagadnienie wyższego szkolnictwa dla Ukraińców, o którem poniżej.

Ważną nader jest kwestja polityki naszej w odniesieniu do uzyskania równowagi liczebnej w Małopolsce Wschodniej. Sprawa ta zahacza o wiele innych, w znacznej zaś mierze o problem polityki agrarnej, t. j. reformy rolnej. W stosunku do Ukraińców musimy przestrzegać oczywiście zasady sprawiedliwości i konstytucyjnie zawarowanego równouprawnienia obywateli państwa polskiego — niemniej jednak nie możemy dopuszczać do zmniejszenia się i kurczenia naszego stanu posiadania. Chodzi nam i o p a ń s t w o w e w y c h o w a n i e z r o z u m i a ł e j p e w n e j t ę s k n o t y d o e w. p r z y s z ł e j p o m o c y p o l s k i e j ze strony niepodległościowców ukraińskich z Ukrainy. W razie jakichś kataklizmów dziejowych, które mogłyby zaktualizować problem naprawdę niepodległej Ukrainy, problem ważny tak politycznie, jak i ekonomicznie, ważnem jest, abyśmy mieli pewną skrystalizowaną już politykę. Co się jednak tyczy naszego obecnego stanu posiadania na odnośnych kresach, to należy baczyć, by się on, jak już wspomniano, nie uszczuplał.

Mamy jednak poważne wątpliwości, czy sztuczne wzmacnianie osadniczego elementu polskiego przy przeprowadzeniu reformy rolnej byłoby z punktu widzenia państwowego słusznem; musiałoby bowiem ze strony chłopa ukraińskiego wywołać wrogie nastroje dla państwowości polskiej. Znosi on lepiej z dawien dawna znanego właściciela, którego praw nie kwestjonuje, od sprowadzonego przybysza-polonizatora. Natomiast uprzemysłowienie Małopolski Wschodniej mogłoby bez żadnych ujemnych politycznie skutków pociągnąć za sobą imigrację odpowiedniego żywiołu polskiego.

O ile chodzi o stosunki ogólne polsko-ukraińskie w Małopolsce Wschodniej, to stwierdzić należy, iż są one poważnie zadrażnione. Datuje się stan taki od czasów wzmożonej agitacji nacjonalistycznej z obu stron przed wojną i podczas wojny światowej, a w szczególności od czasów wojny polsko-ukraińskiej. Po zwycięskiem dla nas jej zakończeniu zaakcentował marszałek Piłsudski, że Polacy nie powinni poszukiwać odwetu na Ukraińcach. Tak się jednak nie stało, a tragiczny kołowrót à la sabotaże i pacyfikacja nie zmienił na korzyść ani stanu rzeczy, ani nastrojów.

Rola zaś ugodowców wśród poważnionych narodów nie należy do wdzięcznych. Sienkiewicz, który w „Ogniem i Mieczem“ w niejednem przesadził (co starał się potem w „Panu Wołodyjowskim“ odrobić i naprawić), trafnie jednak przedstawił mękę Kisiela. Dodajmy do tego — po tylu wiekach — śmierć skrytobójczą Sydora Twerdochliba i Tadeusza Hołówki, to uzmysłowimy sobie łatwo pewną ciągłość historyczną w tej mierze. Nie możemy się jednak zrażać przeszkodami — problem ukraiński musi być traktowany logicznie i konsekwentnie. *Zależnie od potraktowania przez samych Ukraińców ich racji stanu, może ona pójść bardzo jasnym szlakiem — o ile wytworzą znaczące stronnictwo zachowawcze — albo też nędznie wegetować*

w ś r ó d p r z y p a d k o w y c h i p o n i ż a j ą c y c h o s c y l a c j i. Trzeba im stanowczo p r a w d z i w y c h p o l i t y k ó w, których mają stanowczo za mało, a znacznie, znacznie mniej skrytobójców i pokątnych pałkarzy.

Z drugiej strony trzeba pamiętać o prawach Ukraińców i naszych wobec nich obowiązkach — a do tego właśnie zakresu zaliczyć trzeba sprawę wyższego szkolnictwa ukraińskiego, t. j. sprawę uniwersytecką. Co do tego, to różni różnie twierdzą: słychać głosy, że kultura naukowa ukraińska nie jest dostateczna, aby mogła wystarczyć dla potrzeb uniwersyteckich, że Ukraińcom brak odpowiednich sił naukowych i niezbędnych podręczników w ich języku, że wreszcie ich wszechnica przepominałaby obecną kowieńską. Na to można z całą stanowczością odpowiedzieć, iż uniwersytet ukraiński w Polsce stałby na niewątpliwie odpowiednim poziomie i wytrzymałby porównanie z niejednym słowiańskim.

Kwestja uniwersytetu ukraińskiego datuje się jeszcze od lat przedwojennych w Austrji. Już wówczas Ukraińcy żądali, aby uniwersytet zbudowano we Lwowie, rezerwując sobie Stanisławów na przyszłość, jako drugie z kolei miasto z wszechnicą ukraińską. Otóż we Lwowie dać im uniwersytetu nie możemy—a również i w Stanisławowie—albowiem nie możemy sami przyczyniać się do ukrainizacji Małopolski Wschodniej. Ponadto ze względu na mocno niesharmonizowane stosunki polsko-ukraińskie na tej ziemi nie byłoby godnem stwarzanie nowych zarzewi walk pomiędzy młodzieżą obu narodów. Gdzież jest zatem najodpowiedniejsze miejsce dla uniwersytetu ukraińskiego w Polsce?

Bez wahania odpowiedzieć należy na to pytanie, że w Warszawie. A to z następujących przyczyn. Warszawa, jako stolica Polski, nadaje się, podobnie, jak w Czechosłowacji Praga, najbardziej na miasto dwuuniwersyteckie, czy też n a w e t w i e l o u n i w e r s y t e c k i e. W Pradze, jak wiadomo, były przez czas pewien cztery uniwersy-

tety, a to: czeski, niemiecki, rosyjski i ukraiński. Przecież Czechosłowacja też ma swoją mniejszość ukraińską, a jednak nie stwarzała dla niej i dla emigrantów uniwersytetu w Użhorodzie na Rusi Podkarpackiej, tylko właśnie w Pradze. Wybór stolicy tłomaczy się odrazu łatwo i powszechnie, jako miasta o większej ilości wszechnic; zwłaszcza chłop ukraiński zrozumie łatwo, że Warszawa, ta centrala władz państwowych, jest zarazem centralą uczelni. Gdyby dać Ukraińcom uniwersytet we Lwowie, temsamem zacząłby chłop ukraiński uważać Lwów za rodzaj stolicy ukraińskiej — nie mówiąc już o samej agitacji ze strony młodzieży uniwersyteckiej ukraińskiej.

Pamiętać jeszcze trzeba nadto i o innym ważnym względzie: mianowicie wszelkie zetknięcie żywiołów roznamiętnionych, jak właśnie polskiego i ukraińskiego na kresach, zawera w sobie pierwiastki niebezpieczeństwa. Student ew. uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie nie zbliży się do swoich polskich kolegów. Dzielą ich trupy i ofiary wojny polsko-ukraińskiej oraz długoletnie tradycje wzajemnej nieprzychylności. Lepszym mógłby, a nawet musiałby być stosunek młodzieży ukraińskiej z Małopolski Wschodniej do młodzieży polskiej warszawskiej. Wielkomiejska atmosfera Warszawy, do której nie odnosi się Ukrainiec z żadnemi zaborczemi pretensjami i w której prawdopodobnie łatwiejszy znajdzie zarobek wśród nienastrojonego dlań nieprzychylnie społeczeństwa — więcej rokuje nadziei wpływów dodatnich.

Gdzie jednak zużytkować później tę w Warszawie wykształconą młodzież ukraińską?

Również najlepiej przeważnie w województwach centralnych. Odległość zarówno od granicy niemieckiej, jak i rosyjskiej jest w tej mierze pożądana.

Tą drogą uważamy za celowe iść ku asymilacji p a ń s t w o w e j Ukraińców.

Ale kwestja uniwersytetu, jakkolwiek ważna, to tylko

jeden ze szczegółów, poza którym pozostaje wiele jeszcze do zrobienia.

Trzeba stworzyć konsekwentny program i przeprowadzać go planowo i logicznie. Każde zagadnienie polityczne jest ściśle związane z kwestjami gospodarczemi. Uprzemysłowienie Małopolski Wschodniej odbiłoby się korzystnie na stosunkach narodowościowych, pociągnęłoby bowiem za sobą naturalny import elementu polskiego. Trzeba nadto drogą kooperatyw harmonizować życie ludności polskiej i ukraińskiej na wsi — w wypadkach zaś ew. wykroczeń lub sabotażu, surowo karać, przyczem nie wolno stosować zasad odpowiedzialności zbiorowej. Sabotażem niewątpliwie kierują ręce wrogich sąsiadów, jeżeli więc rozwydrzać ludności ukraińskiej nadmierną tolerancją czy słabością nie można, to trzeba też umieć zachować zawsze sprawiedliwość.

Wychowawcza rola służby wojskowej winna specjalnie uwzględniać swoją misję asymilacji państwowej.

Aczkolwiek jednak — jak podnieśliśmy na wstępie — politycy ukraińscy nie panują nad swemi stronnictwami i ich zespołem, to jednak pierwsze porozumienie z inteligencją ukraińską, a zwłaszcza z młodzieżą z wszechnicy, jest potrzebne i da się z pewnością uzyskać w środowisku przyszłego uniwersytetu, przy pomocy pewnej wymiany dóbr duchowych, organizacji wzajemnych przekładów dzieł literackich etc. etc.

Z Polskiej strony sporo o tej kwestji w ostatnich czasach pisano: pp. Kulczycki, Moraczewski, Wasilewski, Hołówko, Borkowski, Łoś, Pragłowski, Mejbaum. Odezwał się też — zgoła niefortunnie — nestor narodowej demokracji, Roman Dmowski. Typowa rozbieżność stanowisk polskich znalazła i tu uzewnętrznienie. Lewicowcy skłonni są do niemal najdalej idących ustępstw, czego dowodem liczne wnioski socjalistów naszych, dotyczące autonomji terytorjalnej. P. Kulczycki, pisząc przed wielką wojną swą „Ugodę polsko-ruską", obliczał panowanie Polaków w Ga-

licji Wschodniej tylko na lat kilkadziesiąt. P. Moraczewski postulował zgodę „dwuch demokracji“, pisząc o Polsce i Ukrainie. P. Wasilewski, znakomity zresztą znawca kwestji ukraińskiej, aczkolwiek wie, że autonomja terytorjalna Małopolski Wschodniej w dalszej przyszłości byłaby dla Polski szkodliwą, przyznaje jej pewne plusy doraźnej natury. P. Hołówko oscylował przez czas pewien wśród różnych liberalnych poglądów, zwrócił się jednak w czasach ostatnich ku koncepcji kooperatyw i uzyskania tą drogą zbliżenia polsko-ukraińskiego. Dużą wartość mają poglądy p. Stan. Łosia, wyrażone w „Drodze“ warszawskiej (bo angielski jego artykuł w „Slavonic Review“ przeznaczony był tylko dla zagranicy). P. Pragłowski w sposób, jak można tylko najinteligentniejszy, broni straconej placówki poglądu, że Ukraińcy nie są narodem (dawniej w podobny sposób wywodził p. Mejbaum). Roman Dmowski wreszcie — który zresztą zawsze akcentował swą słabą znajomość stosunków ukraińskich — zaryzykował rzekome studjum w tej dziedzinie, wykazując w niem istotną nieznajomość tematu, gdyż zajął tam dawne stanowisko, negujące jedność i ciągłość historyczno-narodową Ukraińców *).

Najbardziej celowem z punktu widzenia interesów polskich byłoby pozytywne ustosunkowanie się do współpracy ekonomicznej polsko-ukraińskiej, zajęcie stanowiska zdecydowanego i konsekwentnego w kierunku rozwiązania problemu uniwersyteckiego, inicjatywa wymiany kulturalnej i polityka, którąby coprawda nie eliminowała stosunków z politykami Ukraińców, wodzami stronnictw — ale też nie ograniczała się do pertraktacji z nimi, grającymi często tylko rolę szyldów, nieściśle oddających rolę wszystkich elementów w danych stronnictwach. Ostrożność i stanowczość winny tu iść z sobą w parze.

Dr. Jerzy Pogonowski

---

*) Na rzecz czyją? Chyba tylko idei „Wszechrosji“, która nie przestaje fascynować ideologów narodowej demokracji! (Przyp. Red.).

INDYWIDUALIZM A SOLIDARYZM.

Zagadnieniem, prawie bez reszty zaprzątającem umysły w chwili obecnej, jest kwestja gospodarcza. Kto nie mówi dziś o cenach, o kryzysie, bankructwie, bezrobotnych i niepewności jutra, ten wydaje się bezgranicznie, karygodnie lekkomyślnym. Teoretyczne szukanie wyjścia z beznadziejnej, jak się zdaje, sytuacji świata pasjonuje dziś każdego — od fachowego ekonomisty do zupełnego w tym zakresie laika.

Wydaje się bowiem, że zabrakło na świecie przedewszystkiem zdrowego rozsądku. Gmach gospodarki światowej, nadmiernie rozbudowany, okazał się prawdziwie owym biblijnym kolosem na glinianej podstawie. Najbardziej niewzruszone dotąd zasady ekonomiczne zachwiały się lub doszły do absurdu, o czem świadczy planowe niszczenie w jednej części świata produktów, w braku których gdzieindziej giną z głodu tysiące; świadczy o tem także katastrofalne zagadnienie bezrobocia.

Oczywiście i u nas, w Polsce, cały ten groźny a skomplikowany kompleks problemów socjalno-gospodarczych stanowi podnietę dla badań, dociekań, konferencji, zjazdów, akcji czynników oficjalnych i prywatnych oraz obszernej literatury — z czego wszystkiego wyłaniają się dążenia do szukania różnych dróg wyjścia i nowych form gospodarczego czy społecznego ustroju.

Takim terenem ożywionej dyskusji na temat ustroju gospodarczego był np. tegoroczny lubelski tydzień społeczny „Odrodzenia". Patrząc na szybkie bankructwo systemu kapitalistycznego w jego dotychczasowych tendencjach i formach, młodzież — zwłaszcza w tym wypadku słuchacze prawa — zainteresowała się problemem szukania no-

wych dróg. Podstawą referatów była encyklika Piusa XI „Quadragesimo Anno“. Dyskutowano z ferworem zwłaszcza nad zagadnieniem „kolektywizmu chrześcijańskiego“, propagowanego przez wileńskie koło „Odrodzenia“.

Podobnych „tygodni społecznych“ odbyło się w roku ubiegłym dziesięć, obchodzonych uroczyście. Ale w kwestji realnych rezultatów, osiągniętych z tego szeregu zebrań, nasuwa się pytanie, czy ogół uczestników zjazdów korzysta istotnie z trudu i wymowy zabierającej głos elity?

Otóż przeciętna jednostka, przybywając na taki kurs społeczny nieprzygotowana, znając zaledwie tytuły niektórych wykładów z dość pobieżnego programu, nie jest w stanie wynieść z „tygodnia lubelskiego“ więcej, jak w najlepszym razie powierzchowne tylko korzyści. Na dotychczasowych zjazdach główną rolę odgrywa, głębiej rzecz biorąc, przedewszystkiem koleżeńskie współżycie studentów i studentek; a przecież od kursu społecznego należy wymagać czegoś więcej. Należałoby ułatwić młodzieży odpowiednie przygotowanie się do słuchania wykładów i do brania udziału w dyskusji, układając programy bardziej wyczerpujące i zaopatrzone przez każdorazowych prelegentów w bibljograficzne wskazówki.

Powtóre, z dyskusji ekonomiczno-społecznej, która zajęła dwa końcowe dni ostatniego zjazdu, wyłoniła się skłonność do zbytniego teoretyzowania. Wskutek tego rozprawy takie są bardzo ciekawe, zwłaszcza z punktu widzenia gimnastyki umysłowej, wygłaszane jednak na kursie społecznym robią wrażenie niewystarczające. Nie dziwi wprawdzie zapał, z jakim młodzież dyskutuje, ale nasuwa się wątpliwość, czy mówcy czują się istotnie — jakby to z ich słów wynikało — na siłach zmienić bieg dziejów, a jeżeli tak, to czemu w tym kierunku nie działają?

Wspomnienie poruszanych w Lublinie tematów zwraca myśli na bardziej realne tory. W naszych bowiem czasach życie od najmłodszych już lat odbiera jednostce iluzje, każe jej widzieć rzeczy takiemi, jakiemi są w istocie, wywo-

łując przeświadczenie, że jakiejś konkretnej rady na dzisiejsze zawikłania nie będzie w stanie z własnej głowy wykrzesać. Dlatego trzeba sięgnąć po zdanie innych.

W niedawno wydanym świetnym dramacie Sassmanna p. t. „Das Haus Rotschild“ ks. Klemens Metternich, wcielenie idei oświeconego absolutyzmu i konserwatyzmu, tak przemawia do braci Rotszyldów, przedstawiających nowy czynnik historyczny: „Mam czas, chętnie więc na przeciąg stulecia ustępuję Panom pola dla próby i przykładu!“.

Dziś owo stulecie już minęło, Rotszyldowie zdali egzamin, potęga pieniądza, doszedłszy do niebywałych rozmiarów, doprowadziła cywilizację do niewidzianego w dziejach rozwoju. Fortuna jednak kołem się toczy: era kapitalizmu, tego systemu, opartego na skupieniu pieniądza z jednej, a na najemnictwie z drugiej strony, szybko mija. Stąd zachwianie wszelkich pewników, uważanych dotąd za niewzruszone, spowodowało rozbujanie indywidualizmu aż do hipertrofji.

Indywidualizm, zastosowany do jednostki, zawiera sam w sobie „contradictionem in adiecto“: individuum — niepodzielne. Jakże przymiotnik ten stosować do istoty tak złożonej, jaką jest człowiek? Wszak chemja uczy nas, że jedynie to jest niepodzielnem, co jest niezłożonem. Jak więc można mówić tak o człowieku, tym zlepku różnorodnych sprzeczności psychicznych?

Jako pojęcie filozoficzne, jest indywidualizm światopoglądem, który tak w świecie fizycznym, jak i w duchowym jedynie jednostkom przypisuje znaczenie samodzielne i istotne, całość zaś uważa za rezultat sąsiadowania ze sobą jednostek. Indywidualizm filozoficzny doszedł do absurdu w koncepcji Nietschego, a pozostał z niego tylko odwieczny fakt, że człowiek jest sam w sobie istotną jednostką, nie zaś częścią panteistycznego prabytu.

Ze stanowiska etyki trudno nieraz uchwycić odcień, różniący indywidualizm od egoizmu. Dla szczerego moralisty indywidualizm, to egoizm, podniesiony do godności

teorji; wszak przyznanie swemu „ja“ naczelnego miejsca jest punktem wyjścia zarówno dla indywidualisty, jak dla egoisty, egotysty, czy wreszcie egocentrysty!

Los indywidualizmu, jako koncepcji społeczno-ekonomicznej, zdaje się być również przesądzonym: gospodarka indywidualna ustąpiła niezaprzeczenie miejsca najpierw gospodarce narodowej, potem światowej. Upatrywanie zaś w tym fakcie przyczyny obecnego kryzysu popiera jedynie powyższe twierdzenie.

Jako zaś kierunek, który ukształtowanie całego ustroju gospodarczego uzależnia od dążeń jednostki, ma indywidualizm — i zbudowana na jego podstawie „szkoła liberalna“ — przyszłość więcej, niż niepewną. W teorji niejeden już cios zadała indywidualizmowi idea „chrześcijańskiego kolektywizmu“. W pojęciu swych wyznawców kolektywizm taki przestał być zaprzeczeniem pojęcia własności osobistej, objętego siódmem przykazaniem Boskiem; przeciwnie, dąży do uprzystępnienia własności szerokiemu ogółowi, do odebrania monopolu własności jednostkom uprzywilejowanym.

Naczelne hasło indywidualizmu: „wszystko dla jednostki przez jednostkę“ musiało doprowadzić do uciśnienia jednostek słabszych, będących w większości, przez mniejszość jednostek silniejszych. Każdy ucisk, niwecząc rządzącą światem równowagę, wywołuje reakcję, ta zaś, jak potrącone zbyt silnie wahadło, staje się krańcową. Jak mówi Pismo Św. — „stają się wówczas rzeczy ostateczne gorszemi, niż były pierwsze“. Grożący dziś światu bolszewizm nie jest jednak dowodem, żeby reakcja sama w sobie pozbawioną była słuszności.

Otóż wobec sytuacji świata, która istotnie wydaje się jakgdyby bez wyjścia, ludzie trzeźwi a pozbawieni przesądów, zwrócili się do tej nauki, która jedna trwa niewzruszona od dwudziestu wieków tak, jak jedynym, który naprawdę „bryłę świata na nowe pchnął tory“, był Twórca jej — Chrystus. Wynikiem objektywnych rozważań socjo-

logicznych stała się teorja solidaryzmu, ujmująca zasady nauki chrześcijańskiej w system ekonomiczno-społeczny. Propagowany zagranicą przez najpoważniejsze organa prasowe, został solidaryzm w Polsce wyczerpująco omówiony przez prof. politechniki lwowskiej, D-ra Leopolda Caro. Z jego też dzieła czerpiemy niżej podane określenia charakterystycznych cech solidaryzmu.

System ten mianowicie podkreśla współzależność ludzi od siebie, stawiając na pierwszym planie fakt, że każdy nasz czyn oddziaływa na innych i wywołuje z ich strony nieodzowną reakcję — wobec czego zaleca takie postępowanie, aby nie spuszczać z oka tej zasadniczej przesłanki.

Solidaryzm ogranicza absolutną wolność na rzecz braterstwa, zachęca do tworzenia możliwie równych warunków rozwoju dla każdego. W przeciwieństwie do liberalizmu, który pod pojęciem społeczeństwa rozumie ogół gospodarstw indywidualnych, pozostających z sobą w stosunkach tylko dla dobra każdego z nich z osobna, widzi solidaryzm w społeczeństwie organizm samoistny, żyjący własnem życiem i naginający jednostki do działania na rzecz dobra publicznego. Stąd też sprzeciwia się solidaryzm nieograniczonemu prawu własności, wysuwając jako hasło: współdziałanie, nie zaś współzawodnictwo.

Dalej, nie dopuszcza solidaryzm do traktowania jednostki ludzkiej jako środka do celu, czy to na korzyść zasobniejszych jednostek, co praktykuje liberalizm, czy też na korzyść ogółu, co zaleca skrajny socjalizm. Chociaż bowiem jednostka służyć powinna dobru ogólnemu, to jednak społeczeństwo, czy państwo służyć winno także dobru jednostki.

Kapitalną wreszcie cechą solidaryzmu, różniącą go zasadniczo od innych systemów socjalnych, jest to, że traktuje on ekonomikę jako naukę, opartą na etyce. Kapitalizm nie wnosi wiary pozytywnej do życia publicznego, etykę zaś wyklucza z polityki i z gospodarstwa społecznego. Kto zaś jest zwolennikiem etyki — czy to normatywnej chrze-

ścijańskiej, czy według Kanta kategorycznego imperatywu obowiązku — ten oddaje pierwszeństwo interesowi publicznemu nad prywatnym.

Hasło solidaryzmu jest: „wszystko przez jednostki wybrane i wszystko dla dobra publicznego w granicach zabezpieczenia najwyższego rozwoju jednostek“ *).

Przeciwstawiając więc solidaryzm indywidualizmowi, nie należy upatrywać w nim ujmy dla wartości każdej istoty ludzkiej z osobna, zaprzeczania jej zdolności do postępu, do osiągnięcia najwznioślejszych wyżyn intelektualnych i duchowych. Wszak zaczynając od wychowania domowego, a kończąc na „kursach społecznych“, dąży pedagogja do wyrobienia indywidualności silnych, świadomych swego celu, swej opinji, słowem — do osiągnięcia tak trafnie po niemiecku nazwanej „Kultur der Persönlichkeit“!

Temu też kierunkowi teorje solidaryzmu z pewnością nie staną na przeszkodzie. Nie znajdujemy w nich bowiem ani utopijnego polotu „chrześcijańskich kolektywistów“, ani egoizmem tchnącego konserwatyzmu szkoły liberalnej, ale przeciwnie, odznaczają się one właśnie owym zdrowym rozsądkiem, którego brak w świecie skonstatowaliśmy na początku niniejszego artykułu. Wskazania solidaryzmu są istotnie realne, proste i jasne, posiadają więc cechy prawdziwej wielkości.

Pozostaje więc tylko wyrazić życzenie, aby solidaryzm znalazł u nas jak najwięcej szczerych zwolenników.

Matylda Sapieżanka.

---

*) Prof. L. Caro: Solidaryzm. Lwów, 1931.

KONTRREWOLUCJA!

Dziwna — jeżeli można się tak wyrazić — jednomyślność zapanowała w całym świecie w ciągu ostatnich lat kilku; jednomyślność nie w sensie wzajemnego zbliżenia się ludów, o czem się tak dużo, a próżno i jałowo mówi, lecz w ludzkich troskach, kłopotach i nędzy!

Pod ogólnym nagłówkiem kryzysów gospodarczych, społecznych czy też politycznych zebrała się nędz tych miara pełna i świat cały zapatrzył się dziś w otchłań przyszłości, w której ciemnościach kłębi się bezpostaciowy chaos pojęć. Tematy dzisiejszych polemik obracają się, jak chochoły w zaczarowanem kole, poruszając, a raczej tylko bezradnie potrącając wciąż te same bolączki coraz to ostrzejszych kryzysów gospodarczych, rozkładów wewnętrznych, rewolucji, dyktatur; jednocześnie uwidacznia się coraz wyraźniej, nawet dla ideowych zaślepieńców, upadek idei demokratycznych i wzrost, rozpowszechnianie się bolszewizmu politycznego, a co gorsza, duchowego. Taką to jest smutna rzeczywistość życia!

Nad rozwiązaniem tych zagadnień biedzą się dzisiaj wszystkie rządy i dyplomacje świata, biedzą się i w śmiesznie jałowych, acz wielce międzynarodowych zjazdach czy kongresach starają się wynajdywać niezawodne leki. Te konferencje, z Ligą Narodów na czele, robią wrażenie zjazdów znachorów, na których dla łatwowiernych pacjentów za bardzo kosztowne honorarja (kredyty) wydają plasterki angielskie na gojenie amputowanych rąk i nóg. Zresztą i owe angielskie leki też już utraciły zaufanie u cierpiącego ogółu po szeregu potężnych wstrząsów największego imperjum świata, a kredyt Anglji nawet w opinji własnych poddanych załamał się fatalnie.

Ekonomiczno-społeczne znachorstwo, z godną lepszej sprawy wiarą i bezwzględnością stosowane, pogłębia jeszcze ogólny kryzys, a najznakomitsze ekonomiczne środki, próbowane tu i ówdzie w ostrożnych i nie nazbyt „postępem" zarażonych krajach, okazują się również tylko paljatywami. Cóż bowiem pomoże najgenjalniejszy lekarz, jeżeli przyczyny choroby nietylko, że w dalszym ciągu istnieją, potęgują się, ale zamiast być usunięte, są jeszcze bardziej pogłębiane i otoczone iście macierzyńską pieczołowitością przez wszystkie demokracje świata! Przyczyny te bowiem spoczywają w samej umysłowości dzisiejszych społeczeństw, możnaby powiedzieć, że rodzą się one w głębi dusz cierpliwych ludów, że są pielęgnowane i udoskonalane przez kierownicze sfery tych społeczeństw, przez te „szerokie" koła inteligencji, burżuazji światowej, posiadającej swoje bóstwo, zwane „postępem" i swoją religję, mieniącą się „rozwojem cywilizacji"!

We wrześniowym (XIII-ym) tomie „Naszej Przyszłości", w artykule swym pod tytułem „Po równi pochyłej" świetnie ową psychozę ludzkości ujął p. Maurycy Gedrus; tu więc tylko wspomnimy na słowa Karola, recte Mardocha Marksa, tego proroka rozkładu, twórcy bolszewizmu, zaciętego wroga tejże „inteligencji": „Burżuazja sama sobie kręci stryczek i buduje szubienicę"...

Marks mówił to szczerze, otwarcie i w pełni własnego zadowolenia — mówił prawdę. Miejmyż odwagę spojrzeć tej prawdzie w oczy i nietylko spojrzeć, ale zastanowić się nad nią i zgłębić i, co najważniejsze, wyprowadziwszy wniosek, zastosować się do dyrektyw naszej, a nie cudzej woli.

Miejmy odwagę — powiadamy, bo dla spokojnego, rzeczowego rozważania tej gorzkiej prawdy trzeba mieć odwagę narażania się na nieuniknione, chóralne zarzuty wstecznictwa, obskurantyzmu, zaśniedziałej „średniowiecznej" ciemnoty; miejmyż odwagę dyskutować o rzeczywistych przyczynach

światowej klęski, nie obawiając się ani zdania „szerokiej“ opinji, ani pogardy jeszcze „szerszych“ sfer! Dotknijmy bezpośrednio istoty rzeczy, a mianowicie tak zwanych „zdobyczy demokratycznych“.

Przedewszystkiem więc, zaczynając od najcięższego i najpotężniejszego „tabu“ dzisiejszego świata, poruszymy postulat oświaty, tej „szerokiej“, powszechnej, równej, bezpośredniej, jawnej, chociaż zazwyczaj „tajnemi“ siłami kierowanej, oświaty społecznej. Wypad taki niespodziewany na oświatę zdawać się może w pierwszej chwili nieuzasadnioną i nic z istotą kryzysów nie mającą wspólnego napaścią obskurantyzmu, a jednak sprawa oświaty jest jedną z najważniejszych przyczyn powszechnego rozkładu społeczeństw. Wystarczy tu zwrócić uwagę na fakt, iż wszyscy wywrotowcy, wszyscy ci, których celem jest sianie zamętu i rozkładu, właśnie postulatowi powszechnej oświaty poświęcają najwięcej wysiłków i uwagi. Z drugiej strony widzimy, jak to sprawę oświaty starają się ująć w swe ręce i bezkonkurencyjnie nią kierować wszystkie rządy świata, jak też o nią dba jedyny rzecznik ładu społecznego, jakim jest Kościół.

Jednakże sprawa oświaty społecznej jest sama w sobie na tyle zasadniczą i rzec można abstrakcyjną, że niemal obojętnem się już staje, kto nią kieruje, bo samo narzędzie zostało zboczonem i przy najlepszych nawet chęciach fatalne da nam rezultaty. Zewnętrzna strona nauczania może się zmienić, wyniki pozostaną te same.

Wzniosłe i wielkie hasło oświaty, po haniebnej pamięci rewolucji francuskiej, przejęła w swe ręce jej nieodrodna córa — demokracja nowożytna; ponieważ zaś rzecz wzniosła nie może być równocześnie płaską, a tylko bezwzględna płaszczyzna może być dopasowaną do równi demokratycznej, więc postanowiono ową oświatę rozlać równo, szeroko, wszędzie i powszechnie. Państwo przejęło nauczanie z rąk specjalistów i pragnąc zastosować się do wymagań idei demokratycznych, stara się wszelkiemi siłami udo-

stępnić je dla ogółu; rozszerza więc ramy, tworzy setki szkół „wyższych“, obniżając ich poziom, oraz tysiące szkół „niższych“, przeładowywując ich programy. Wyrabia się nieskończoną ilość wciąż zmieniających się „programów“, gdzie w ramki X godzin i semestrów starają się teoretycy „pedagodzy“ wprowadzić wiadomości wszystkich, najbardziej nawet niepotrzebnych dziedzin wiedzy, przeplatając to wszystko modnymi sportami, wiadomościami z higjeny, musztrą wojskową i robótkami ręcznemi. Jest to tak zwany problem powszechnej nauki, oświaty, stosowanej na modłę produktu farmaceutycznego lub sztucznego nawożenia na całej przestrzeni kraju i względem wszystkich jego obywateli.

Problem ten, rozmaicie rozwiązywany w różnych krajach, wszędzie jednak osiąga ten sam skutek: od szeregu lat wytwarza się „inteligencję“ seryjną, podobnie, jak się seryjnie wyrabia wszelką tandetę i również, jak tę ostatnią, wytwarza się ją masowo, zastosowując, wbrew postulatowi wolności, przymus moralny, ekonomiczny, a nawet bardzo często fizyczny względem wszystkich dzieci kraju.

Zbrodnicza fikcja równości demokratycznej święci tu swoje tryumfy. Bez najmniejszego względu na stopień pojemności umysłowej, poziom kulturalny, a nawet moralny młodzieży, nie bacząc na żadne, najistotniejsze nawet różnice społeczne lub ekonomiczne i nie zastanawiając się nad zakresem i możliwościami przyszłej ich działalności, wytwarza się stale i w coraz to szerszych ramach olbrzymią rzeszę półinteligentów. Siłą niemal wyrywa się młodzież włościańską, rzemieślniczą czy robotniczą z jej naturalnych środowisk i ciągle dążąc do „równania“ warstw społecznych, rzuca się rok rocznie na „rynek“ pracy ogromne zastępy „wyuczonych“ nędzarzy, tworzy się rozmyślnie i planowo proletarjat inteligencji. Równorzędnie zaś z tą robotą, dzięki innej fikcji idei demokratycznej, mianowicie „panowania większości“, wprowadza się w życie panowanie inteligentnego chamstwa!

Budząc i popierając aspiracje młodzieży wiejskiej lub robotniczej do tak zwanych „zawodów wolnych“, do zazwyczaj efemerycznej „karjery“ urzędniczej, wytwarza się gwałtowne przeludnienie miast, idące równolegle z bezdomnością i wszystkiemi kryminalnemi dziwactwami „ustaw“ lokatorskich, oraz ubożenie wsi, brak robotnika rolnego, kryzys parobczany, a w znacznej też mierze i wzrost przestępczości wiejskiej; tworzy się krocie niezadowolonych, szczepiąc masom siłą nowe potrzeby życiowe, rzuca się w świat tysiące zawiedzionych i złamanych rzeczywistością życia ludzi, nie mając najmniejszej możności dać im cokolwiek w zamian za utracony spokój. I ten nonsens wszyscy jednogłośnie nazywają „postępem cywilizacji i kultury świata“!

Państwa, formujące „par force“ te zastępy inteligencji. nie są w stanie dać im innej pracy, jako tako zastosowanej do poziomu wykształcenia, jak tylko przez rozdymanie do niemożliwości aparatu biurokratycznego. Dopóki starczy środków, ściąganych potężną śrubą podatkową od klas posiadających, tworzy się nowe „urzędy“, departamenty, ministerja, pomnaża ilość urzędników; ale że „kryzys“ szybko nadchodzi, więc gdy budżety nie wystarczają, a pożyczki zawodzą, zaczyna się obcinać pensje, doprowadzając je do humorystycznych wprost drobiazgów. Państwa same zmuszają poniekąd olbrzymie rzesze urzędnicze do szukania „innych“, niż pensje dochodów i po kryzysie finansowym przychodzi kryzys moralny. Wreszcie dochodzimy do tego stanu, w którym dziś świat się obraca: obcięcia pensji nie wystarczają, należy przeprowadzać redukcje, więc nowa falanga proletarjatu inteligentnego, złamanego życiem i zgorżkniałego, ciążyć zaczyna na istnieniu narodu. To się nazywa „postępową polityką wewnętrzną“!

Podając tu jednak ten skrót rzeczywistego stanu rzeczy, nie chcemy bynajmniej propagować hasła, które wyrywało się często z piersi niektórych Moskali: „Dałoj gra-

motnyje!" — Precz z oświatą! Bynajmniej! Oświatę należy szerzyć, ale trzeba zaprzestać sztucznego „fabrykowania" inteligentów! Raz nareszcie zerwać należy z „tajnymi" celami oświaty, przeprowadzanymi nieraz przez więcej, niż „ciemne" osobistości; trzeba zerwać z trucizną, rozlaną przez twórców rewolucji.

Należy więc (i tu zaznaczamy, że nie walczymy z oświatą, lecz z fatalnym systemem jej szerzenia) o ile możności uogólnić oświatę powszechną, to znaczy rozszerzyć jeszcze sieć szkół powszechnych, skierowując do nich jaknajwiększą ilość dzieci, ale musi się przytem pamiętać o rzeczy najważniejszej! Nauka szkolna niczem nie jest, a nawet jest szkodliwą, jeśli jej brak równoległego wychowania i kultury; nauka, stosowana sama w sobie, da nam tylko liczniejsze zastępy „uczonych chamów", oraz równie uczonych przestępców! To też szkoły powszechne (obojętnie iloklasowe, bo to tylko biurokratyczna fikcja) winny dać uczniowi: umiejętność czytania i pisania, poprawny język ojczysty, tępiąc bezwzględnie wszelkie naleciałości i prowincjonalizmy, główne działania arytmetyczne ze znajomością ułamków, reguły trzech i procentów, krótki, ale p r a w d z i w y i b e z s t r o n n y zarys historji ojczystej, z równie zwięzłym i nie zabarwionym fałszami ani żółcią doktrynerską zarysem historji ważniejszych ludów, geografję bez dodatków i dziwolągów floro-faunowych, gleboznawczych lub meteorologicznych, ale zato z dokładną znajomością, gdzie dane kraje się znajdują, jakiemi są ich główne cechy, ludy i charakter. Oto całość działu „naukowego", ale natomiast dział wychowawczo-moralny musi być obszerny!

Więc przedewszystkiem religja, której znajomość pogłębianą być winna stałym wysiłkiem wykładających zasady moralności i specjalnem pielęgnowaniem i wyrabianiem wśród dzieci wszelkich cnót. W y k ł a d a n ą b y ć w i n n a n a u k a (bo niestety, zwłaszcza u nas należałoby stworzyć specjalny dział naukowy w tym kierunku)

poszanowania cudzej, społecznej, państwowej, a nawet i swojej — własności! Uczyć też należy kultury ogólnej, wyrażającej się w zamiłowaniu do czystości, porządku, rozumieniu piękna natury i sztuki, w poszanowaniu godności bliźniego, wieku, stanowiska, pomocy słabszym, opieki nad bezbronnym, ochrony roślin i zwierząt. Nauka prawa, ale nie tych kauzyperdycznych kodeksów lub na krocie liczących się ustaw, owych dziwolągów kompromisowych lub doktrynerskich, wylęgłych w instytucjach parlamentarnych, lecz prawa naturalnego, prostolinijności uczciwego sądu, poszanowania władzy i przykazań Bożych.

Oto w ogólnym zarysie, co winny dawać szkoły powszechne, nietylko dla wszystkich dostępne, ale i obowiązkowe. Wychowanie to winno też być rodzajem filtru dla szkół średnich, do których wstęp warunkowanym być musi wysokim poziomem świadectw szkoły powszechnej. Tylko celujący, względnie bardzo dobry uczeń powinien przechodzić do szkół średnich, których programy znowu muszą stać się rzeczywiście życiowymi. Należy je przedewszystkiem zróżniczkować na całą gamę rozmaitych typów, począwszy od ściśle klasycznych i humanistycznych, poprzez t. zw. realne czyli matematyczne i przyrodnicze, do politycznych, handlowych, rzemieślniczo - przemysłowych, rolniczych i wreszcie wojskowych. I znowu w każdem gimnazjum nacisk główny kładziony być winien na wychowanie; więc religja, moralność, kultura, aby wyborowe dzieci, przechodzące do szkół średnich, mogły się przetwarzać w wyborową i selekcjonowaną, naprawdę kulturalną młodzież.

Przechodząc teraz do szkół wyższych, wszechnic, uniwersytetów, akademji — przyjęcie na nie winno być uwarunkowanem nietylko najlepszymi stopniami szkół średnich, ale i dowodami, że bądź kandydat posiadać będzie

własny, uniezależniający go warsztat pracy, bądź zabezpieczone miejsce rządowe, komunalne czy prywatne po skończeniu kursu.

Nie jest to bynajmniej jakiś złośliwy, antydemokratyczny pomysł, bo w odmiennej nieco formie stosuje się od lat względem niezamożnej młodzieży w Holandji, gdzie tylko ci kandydaci otrzymują miejsce w bursach i pomoc rządową w naukach, którzy zobowiązują się „odsłużyć" tę pomoc szeregiem lat pracy w służbie kolonjalnej, a tem samem mają zgóry zabezpieczone stanowiska po wyjściu z nauki. Sądzimy, że jest to jedyny sposób uniknięcia proletaryzacji inteligencji, a więc usunięcia najcięższego działu bezrobotnych.

Pozatem wrócić należy do naturalnej i starej zasady, iż kobieta ma swoje pole działania, a mężczyzna swoje, że więc sensu niema pchanie kobiet ku zajęciom innym, niż przez samą naturę wyznaczonym, że lekkomyślny, przez wolnomyślicieli prowadzony, początkowy ruch emancypacji kobiet, przeszedłszy fazę półświatkowości i kabaretomanji różnych kobiet, zamienił się na bezsensowny ruch zarobkowy, fachowy, roboczy. Kobieta zajęła stosunkowo szybko stanowiska męskie, do wojska, policji i parlamentu włącznie i... kryzys pracy na wszystkich polach zdwoił się! Nie trzeba być genjuszem, aby ten fakt zrozumieć. Moralną stroną tego opuszczenia swojej placówki, aby zająć miejsce cudze, pozostawiamy na boku. Tu, zastanawiając się nad zagadnieniem wykształcenia, przeciwstawić się musimy kategorycznie zwłaszcza dwum faktom: koedukacji wogóle i bezkrytycznego dopuszczania kobiet na uniwersytety, gdzie dla kobiet należy założyć specjalne wydziały, gospodarstwa domowego, wychowania niemowląt i dzieci, pielęgnowania chorych. Pozatem utrzymać trzeba wyższe żeńskie seminarja nauczycielskie i katechetyczne, szkoły ochroniarek i pielęgniarek.

Zdajemy sobie zupełnie jasno sprawę, że „mowa ta twardą jest", że zarzucać nam można nietylko obskuran-

tyzm i zacofanie, ale też i brak wyrozumiałości dla konieczności życiowych tysięcy kobiet... Tak! Ale właśnie tu leży jedno z ogniw tego błędnego koła: „konieczności życiowe“ wynikają z ustroju „postępowego“, a ustrój ten opiera się na wywołanych przez siebie koniecznościach! Istnieją pozycje, z których wyjść można tylko łamiąc ustrój; wiedzą o tem najlepiej wszyscy rewolucjoniści, niema więc potrzeby bliżej tę rzecz tłumaczyć. Ale jeżeli dla własnych ambicji, lub dla świadomego wywołania nędzy ustrojów socjalistycznych, nie wahają się „mężowie stanu“ przed rewolucją, niechże się nie dziwią, że dla powrotu do ładu i spokoju trzeba będzie (może już wkrótce) przejść przez pewnego rodzaju — kontrrewolucję!

Ale idźmy dalej. Widzimy więc, jak idea egalitaryzmu demokratycznego, stosowana zapomocą jawnej lub ukrytej rewolucji w całym świecie, zamiast selekcjonować wybitne jednostki i podnosić je ku sferom wyższym, prawdziwie intelektualnym lub też stawiać je w szeregach rządzących, miast uszlachetniać wciąż nowe osobistości, podobnie, jak się to działo do niedawna jeszcze w Anglji, wybrała sobie w praktyce o wiele łatwiejszą drogę najmniejszego oporu i obniża intelektualne życie kulturalnego świata do coraz to mniej wybrednych mas, do gustów coraz to bardziej zwierzęcego tłumu. W pierwszym rzędzie jednak wszelkie rządy czy władze, pozostające pod wpływem psychozy demokratycznej, nie rządzą się rozumem lub celem dobra ogółu, lecz wyłącznie nienawiścią do tego wszystkiego, co sobie wyobrażają jako istotę lub atrybut arystokratyzmu. Zaczyna się od niszczenia magnaterji (której bynajmniej za bezwzględnie dodatni element nie uważamy), ale wraz z nią niszczy się też i wszelką wielką tradycję i wiekową nieraz kulturę; niszczy się wszystko, co tę znienawidzoną arystokrację może przypomnieć, fałszuje się historję własnej ojczyzny, aby tylko z kart tej historji wyrwać pamięć o wielkości przeszłych pokoleń!

Zaczyna się od magnaterji, bo to najłatwiejsze, najpopularniejsze, a potem przychodzi kolej na starą szlachtę, na ziemiaństwo wogóle, potem już bez wysiłku obala się klasy „posiadające“ i w imię „sprawiedliwości społecznej“ łamie się elementarne podstawy prawa i sprawiedliwości normalnej!

Jak już mówiliśmy, nie chodzi tym zaślepieńcom o prawdziwie demokratyczne „równanie ku górze“, lecz o wdeptanie wszelkiej wyższości do równi żądającego żeru tłumu; i cecha ta przebija się w działalności nawet najwybitniejszych i najlepszych jednostek demokratycznych.

Ta ślepa ideologja nienawiści demokratycznej, poza bezdenną głupotą (grzeczniejszej nazwy znaleźć nie można!) rozmaitych „rewolucyjnych“ ustaw lub przepisów, wynajduje też i demonicznie podstępne sposoby niszczycielskie; gdy z jednej strony np. debaty takiego suwerennego sejmu naszego nad „skasowaniem“ różnic społecznych, wywołujące zamienianie nazwy „stróż“ na „dozorca“ i mówienie „pan“ nawet do smarkaczów z 2-giej klasy, gdy poważne i rozdęte „godnością i wzniosłością“ „postanawianie“ republikańskich kortezów hiszpańskich, anulujące istnienie czterech naraz królów... karcianych, bezwzględnie należą do brukowej humoreski — to z drugiej strony widzimy nadmierne podatki spadkowe, daniny gwałtownie progresywne, przewłaszczenia, reformy rolne i inne ograniczenia własności, które zaliczyć trzeba do brukowej kryminalistyki sui generis! Rozdrabianie siłą naturalnego podziału dóbr dla uzyskania fikcyjnego dobrobytu ogółu, a raczej tłumu (bo przecież nie o naród chodzi tym panom, to też trzeba sobie raz uświadomić, a li tylko o poklask tłumu, o mandaty, stanowiska, o „popularność“), niszczy bogactwo narodowe i prowadzi wszelkie kraje wprost do bolszewizmu.

K r y z y s ś w i a t o w y w o l b r z y m i e j m i e r z e o p i e r a s i ę n a t y c h t o w ł a ś n i e „d e m o k r a t y c z n y c h“ u s t a w a c h, które wciąż jeszcze przybierają się w fikcyjne togi praw. U s t a w y

te nic wspólnego z Prawem nie mają, chyba to, że podpadają same pod kodeks karny! Rozbój, rabunek, gwałt, wymuszanie, oto zasadnicze podstawy „ustaw", rządzących dziś światem i to ustaw, tyczących się właśnie dziedziny ekonomiki narodowej. Psychologja społeczeństw powoli godzi się z temi potwornościami uprawnionych bezprawi, a potem zjeżdżają się ekonomiści, prawnicy i politycy tych sponiewieranych, shańbionych społeczeństw i dziwują się, że wybuchają wciąż nowe kryzysy, których ani kredytem, ani pożyczką, ani żadną nową „ustawą" załagodzić nie można! Od czasów rewolucji francuskiej prawa moralne, Boskie, zastąpiono „prawami człowieka"; prawa obyczajowe, naturalne, z życia wynikłe, łamano, naginając je do doktrynerskich ustaw i dziś ludzie dziwią się, że zamiast sprawiedliwości — jest gwałt i przemoc, że zamiast naturalnego rozdziału dóbr i zgodnej współpracy ludzi — jest brak ogólny tych dóbr i wzajemna walka tych ludzi!

Absurdalność reform rolnych, praw „lokatorskich", świadczeń społecznych, podatków spadkowych, przelewowych, obrotowych, progresywnych etc. etc., jest tak jawną i bezsporną, iż bronioną być już może tylko wymówką „chwilowości" i tem, że w „obecnej chwili skasowaćby się nie dały"; tylko, że ta chwila trwa dłużej, niźli ją świat znieść może, a wszystkie rządy, zamiast starać się wszelkiemi siłami o powrót do życia normalnego, stosują wciąż nowe paljatywy i zwłoki.

Jedynymi praktycznymi wynikami tej prawno-politycznej, a raczej bezprawno-demagogicznej ekonomiki dzisiejszych rządów, są trusty, kartele lub monopole, zatem nie rozdział bogactw, głoszony w programowych hasłach wszechbarwnej demokracji, lecz tylko zmiana właścicieli: z dość licznych, zazwyczaj słabych, lecz przeważnie uczciwych i hojnych rąk znanej wszystkim i jawnej magnaterji,

czy zamożnych dziedzicznie rodzin, do mniej licznych, ale zawsze ciemnych, skąpych, bezwzględnych, twardych i zupełnie tajnych rąk anonimu. Stan ten jest bezsporną „zasługą“ owego, jak go Daudet nazywa „głupiego“ (le stupide...) XIX-go wieku i jest to też zasadniczy a potężny krok ku bolszewizmowi!

Zaszpuntować to wielkie źródło kryzysów, bez uciekania się do „kontrrewolucji“ nie da się i biada społeczeństwom, jeśli na tę kontrrewolucję zbyt długo będą wyczekiwać!

Równolegle z powyżej wymienionemi bezwarunkowemi przyczynami ogólno-światowego przesilenia istnieje we wszystkich społeczeństwach dzisiejszych, jako spadek po materjalistyczno - pozytywistycznej umysłowości XIX-go wieku, jakaś bezkrytyczna egzaltacja tak zwanego „postępu“ technicznego. Najpoważniejsi ludzie zachwycają się szalonym rzeczywiście postępem techniki; wynalazki, odkrycia, nowe maszyny sypią się, jak z rękawa, znikają odległości, czas nabiera tempa stukonnych aut, maszyna zaczyna robić wrażenie żywego organizmu i w chwili, gdy dziesiątki miljonów ludzi, pozbawionych możności zarobkowania, ginie z głodu, świat cywilizowany chlubi się „wypuszczeniem na rynek“ sztucznych ludzi, maszyn, posiadających nawet zewnętrznie ludzką postać, t. zw. „robotów“.

Zachwyt tym „postępem“, to zupełnie naiwne i bezkrytyczne pomięszanie pojęć o istocie cywilizacji i mechanizacji, bo gdy pierwsze może stać na bardzo wysokim poziomie przy niemal zupełnym braku maszyn, czego przykłady niedawno jeszcze widzieliśmy w licznych okolicach Szwecji, Norwegji, Danji, zaś w starożytności w cywilizowanych Atenach, Aleksandrji etc., etc., to niebywale wysoko rozwinięta mechanizacja niemal zawsze idzie w parze z brakiem kultury, chamstwem, a nawet najaktualniejszą dziczą, czego przykłady dziś rów-

nież widzimy i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w sąsiedniej nam Bolszewji.

Ów bezkrytyczny zachwyt dla maszynizmu, technicznego rozwoju i postępu pcha równie bezkrytycznie, bo przeważnie z półinteligentów złożone społeczeństwa do, że tak powiemy, „fabrycznego“ ustroju życia. Świat zamienia się na fabrykę, w technicznem znaczeniu tego słowa i jednostki tego światowego organizmu są też fabrykami. Produkcja indywidualna (zawsze pod wpływem psychozy demokratycznej) zamiera, ustępuje wszędzie przed dziwolągiem postępu, związkiem maszyn i ludzi, zwanym fabryką. Powstają fabryki literalnie wszystkiego, czego człowiek używa lub czego potrzeby sztucznie sobie stwarza i fabryki te stopniowo zastępują w swych wytworach produkt naturalny sztucznym. Słynne „ersatz'e“ z czasów wojny są typowymi przykładami tej ewolucji, a zakończenie wojny bynajmniej nie położyło kresu tendencji „sfabrykanizowania“ produkcji.

Stan ten wytwarza naturalnie cały szereg anomalji życiowych, ściślej mówiąc, idzie wbrew naturze rzeczy, jest poprostu objawem psychiczno-patologicznym! Pozatem stan ten wszelką produkcję przekazuje pewnym grupom, związkom, anonimowi akcyjnemu czy spółdzielniom; jednocześnie odbiorcy zmuszeni są też do grupowania się w anonimowe, masowe związki i spółdzielnie i z tych dwóch czynników: masowej, fabrycznej produkcji i masowej konsumcji, powstaje konieczność ujednostajnienia jakości wytworów, czyli standaryzacji.

Niszczy się bezpowrotnie jakość dla ilości, niszczy się różnorodność, dokładność, artyzm dla taniości, niszczy w rezultacie przemysł domowy, rzemiosła, indywidualności (a też życie domowe, ognisko rodzinne!), a wytwarza maszynowego robotnika, niszczy się wszystkie dodatnie cechy produkcji dawniejszej dla rozpowszechnienia równej, demokratycznej tandety!

Przykładów można dać tysiące: kto porównać może

jakość, piękno, trwałość dawnych brokatów, adamaszków, sukien, płócien, z dzisiejszą, nawet bardzo kosztowną, fabryczną produkcją? Jak porównać meble stare do dzisiejszych fabrycznych? Czyż nie obniżyła się powszechna wartość dzisiejszego fabrycznego pieczywa w porównaniu choćby z przedwojennem? Dokładność i artyzm wyrobu zegarków z połowy XIX wieku tak góruje nad dzisiejszymi, że już niema możności nawet naśladowania tej roboty! A w architekturze? Wystarczy spojrzeć na taki nowy gmach Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie lub nowy kościół w Gdyni lub tysiące i tysiące „nowych" budowli, by stwierdzić, że architektura dzisiejsza wogóle „nie znosi" porównywania! Tandeta, tandeta i tandeta we wszystkich dziełach produkcji, tandeta — synonim t. zw. „postępu"!

Rządy państw nie przedsięwzięły żadnych środków dla hamowania tego stanu rzeczy, przeciwnie, starały się dokładać wszelkich wysiłków, używały wszelkich środków, aby jaknajsilniej rozwijać mechanizację życia; bezkrytycznie popierały rozwój przemysłu, patronowały powstawaniu coraz to nowych anonimów akcyjnych, związkowych, spółdzielczych, chwaliły się tym rozwojem, wprowadzały doń jeszcze moment patrjotyzmu, emulację pierwszeństwa! Im więcej bowiem jest fabryk, im więcej towaru rzuci się na rynki, tem większy „obrót", tem wydatniejszy bilans handlowy, tem większe wpływy z podatków, ceł, danin, tem liczniejszą być może biurokracja, tem liczniejsze zapotrzebowanie na urzędników prywatnych i tem łatwiej dać miejsce masowo „fabrykowanej" inteligencji. Nie jest to naturalnie świadomy cel owej „mechanizacji narodów", bo celów podrzędnych istnieją setki, ale w praktyce jest jej realnym rezultatem.

I oto nikt się nie spostrzegł, jak „produkcja" przekształciła się w „nadprodukcję", jak towar przestał się „obracać", a natomiast zaczął gromadzić w nigdy dotąd niewidzianych „zapasach"; jak życiowy paradoks „praco-

witych i bogatych" krain świecić począł nędzą narodów! Gdy dziś w każdym kraju gromadzi się krocie i miljony bezrobotnych, gdy już nietylko widmo głodu, ale najautentyczniejsza śmierć głodowa zagląda w oczy ludom Europy, Azji lub Ameryki, to jednocześnie „zapasy" zboża, których nikt spieniężyć nie może, sięgają ilości, wystarczającej na wyżywienie całego świata w ciągu półtora roku! Gdy dziś tłumy bezrobocze nie mają się w co odziać, to bezwartościowe, bo niemożliwe do spieniężenia zapasy bawełny są tak olbrzymie, iż rządy noszą się z myślą spalenia ich! Gdy krocie nędzarzy, bez dachu nad głową, spoglądają beznadziejnie na nadciągającą zimę, to zapasy węgla, drzewa, nafty są tak wielkie, iż jedne po drugich zamykają się kopalnie, bankrutują przedsiębiorstwa leśne, a pola naftowe pilnowane są przez wojsko, aby uniemożliwiać produkcję!

Czy to jest panowanie idei demokratycznych i postępu (bo dziś niema już wcale niedemokratycznych i niepostępowych rządów), czy też poprostu wyzysk nędzy ludzkiej przez bandy anonimowych plutokratów?

Zakładane są i utrzymywane przez państwa i społeczeństwa instytucje filantropijne, zbiera się składki, buduje baraki, uruchamia kuchnie i punkty odżywcze dla ratowania miljonowych rzesz, pozbawionych pracy i zarobku; coraz to „intensywniej" działają przeróżne ligi, związki i kongresy, zawsze z Ligą Narodów na czele, wysilając się na coraz to nowe koncepta ratunkowe, a nikt nie może zdobyć się na wydanie owych „bezwartościowych" zapasów żywności, opału czy odzienia pod postacią bezpłatnych zasiłków dla głodującej ludności! Przecież nadmiar amerykańskiej pszenicy, birmańskiego ryżu lub światowych zapasów nafty i bawełny mógłby bez żadnej „szkody" być wydanym dla owych 100 miljonów mrących z głodu Chińczyków! Zapasy te mogłyby ulżyć życiowym troskom kroci bezrobotnych Europy i Ameryki. Kryzysu by to nie rozwiązało, bo przyczyny trwałyby nadal, ale przyniosło-

by chwilową ulgę i zmniejszyło plugawe *piętno hańby, okrywające dzisiejszą demokrację!*

Dzieje się jednak całkiem odwrotnie. Zapasy niszczy się lub chowa, a świat cały, jęcząc w coraz to ostrzejszym kryzysie, „fabrykuje" dalej en masse wszystko, co tylko wcisnąć można tłumowi, dopomagając sobie w tem samobójczem dziele — reklamą. Tu stajemy wobec nowego powodu kataklizmu, a jest nim... nowożytna prasa!

Tandetę narzuca się tłumom przez reklamę, reklama pomaga niezawodnie przy zbywaniu wszystkiego tego, czego się chcemy pozbyć, czy to będą papierowe wykałaczki do zębów, czy też akcje bankrutującej spółki, czy nowy foxtrott, czy „niezawodna" lokata ostatnich oszczędności w jakichś papierach, czy pasta do zębów, czy też „uspokojenie" opinji eksploatowanych tłumów! Reklamę najlepiej rozpowszechnia prasa i wogóle ta prasa im bardziej jest brukową, a zbliżoną do poziomu dzisiejszych społeczeństw, tem więcej może wmówić w nie absurdów, tem pewniej panuje nad psychologją tłumu. Prasa, mocarstwem się zwąca, jako jedno z najpotężniejszych anonimowych narzędzi, opanowaną więc została przez trusty.

Żyjemy w epoce paradoksalnej, gdy słowo drukowane, myśl twórcza ludzkości, szczycącej się, iż wraz z demokratyzacją społeczeństw wprowadziła panowanie wolności, jest całkowicie w rękach anonimu i dla celów „ilościowych" obniża się do mentalności t. zw. „szerokich sfer"; *żyjemy w epoce wybitnego obniżenia się intelektu narodów!* Ciekawą byłaby statystyka, wykazująca, ile to strat ekonomicznych poniosła i ponosi wciąż ludzkość z powodu „wiadomości prasowych", ile „krachów" wywołały fałszywe pogłoski, ile najszkodliwszych pomysłów przyjęło się w świecie skutkiem „zareklamowania" ich przez posłuszną anonimowi prasę!

Dziewiętnasty wiek dał więc jeszcze ludzkości nieznaną dotąd w historji świata plagę, a mianowicie, pod

formą niebywałego rozwoju towarzystw akcyjnych i związków, panowanie anonimu. Jest to pewnego rodzaju zastosowanie w rozdrobionych dozach ideologji bolszewickiej i to już nie teoretyczne, ale praktyczne. Wszędzie tu nieznane, ukryte jednostki (zarządy spółek, związków, trustów czy karteli) korzystają niemal bezkontrolnie z pracy i majątku szerokich rzesz, dając im w zamian za to ułudy zaspokojenia potrzeb i wszechstronną — tandetę!

Panowanie to najwybitniej i całkiem pokojowo objawia się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, zaś w swym pełnym realiźmie i już bez maski występuje w Bolszewji.

Ten przerost spółek anonimowych wszelkiego rodzaju jest też w pewnej mierze wynikiem ludowładczych systemów państwowych, które poruszywszy masy ludności z ich naturalnych środowisk i stanowisk społecznych, zmuszają je dla obrony istnienia łączyć się i zrzeszać. Ludność nowożytna tworzy więc sztuczne związki tak dla ochrony swych życiowych interesów, jak i dla napaści, dla niszczenia „niezorganizowanego" przeciwnika; w całym tym naszym cywilizowanym świecie toczy się od dziesiątków lat zażarta walka wszystkich ze wszystkimi, będąca rzeczywistą analogją urojonej w umysłach uczonych tegoż XIX-go wieku walki o byt świata zwierzęcego.

Żadne środki perswazji, żadne teorje lub najlepiej uzasadnione dzieła czy przemowy nie zdołają powściągnąć tej walki wzajemnej anonimów, tak, jak żadne tłumaczenia nie powstrzymają wilka od rzucenia się na owcę. Tu więc też uzdrowić można stosunki tylko drogą siły fizycznej, przymusem, strachem więzienia, bata lub bagnetów; tu też staje się koniecznością uciec się do kontrrewolucji. Tylko jedno pytanie: kto tę siłę ma zastosować?

Państwo, któreby taką akcję przeprowadziło, zamieniłoby się samo w rodzaj trustu; monopole i etatyzm przetworzą je wkrótce w typowy komunistyczny organizm. Je-

żeli siłę zastosuje zrozpaczony i do ostateczności doprowadzony tłum, to znów natychmiast wybuchnie anarchja i znów wszystko się zwali w objęcia tegoż bolszewizmu. Pozostaje jednostka... więc dyktatura... Gdzież są dziś te jednostki, które potrafią ująć w ręce całość aparatu państwowego, przetworzyć go, uzdrowić i którym starczy sił i życia, aby wywieść narody na drogę porządku? Dyktatura, nawet najlepsza, to rzecz przejściowa, czyż więc potem znów ma rozpocząć gospodarkę ludowładztwo??

Nie, kontrrewolucja musi być oparta o elitę, ta zaś — nawet w najkulturalniejszych krajach — nie jest liczną, a historja nas uczy, iż w większości wypadków jest dziedziczną...

Ale nie skończyliśmy jeszcze z istotnemi przyczynami kryzysu. Bo oto widzimy, jak od szeregu „powojennych" lat ludzkość całego świata jest bezsilnym i zupełnie nie mogącym zorjentować się widzem dziwnego naprawdę zjawiska: wędrówki złota! Jakgdyby samorodną ożywione siłą, złoto świata całego, pomimo wszelkich wysiłków ekonomistów i rządów, gromadzi się w nieprawdopodobnych ilościach w skarbach państwowych, bądź Ameryki, bądź Francji; gromadzi się i przelewa, spiętrza w bezczynnych stertach, ogałacając „skarby" innych krain, ogałacając świat cały i pozbawiając nawet najpotężniejsze mocarstwa możności spokojnego zarządzania swymi finansami.

Złoto znika z obiegu światowego, bo po szeregu niewidzianych i nieprawdopodobnych wstrząsów ekonomicznych ludność wszelkich krain zaczęła tezauryzować swe skromne oszczędności, ściślej mówiąc: zaczęła chować na ostatnią godzinę przeczuwanej katastrofy choć groszy parę w tym żółtym metalu!

Ową dziwaczną wędrówkę złota tłumaczy się skutkami wojny lub powojennych odszkodowań, tłumaczy się wielce mądremi teorjami ekonomicznemi, ale w tych

tłumaczeniach próżno szukać jakiejkolwiek myśli twórczej, dającej nadzieję ulgi czy ratunku!

Im mniej jest złota, tem więcej zaczyna krążyć papierów, a słowo „kredyt“ poprzedza nieomylnie okrzyk „bankrut“. Zamiast puścić złoto w obieg, a wycofać do ostatecznych granic monetę papierową i w ten sposób radykalnie i niewątpliwie przeciąć kryzys, wszyscy ekonomiści wymyślają wciąż nowe „pożyczki“, prekonizują inflancję, uzdrawiają finanse, rozbijając równowagę handlową, wprowadzają nowy wyścig konkurencyjny między narodami, polegający na tem, kto prędzej ulokuje bezwartościowy papier u sąsiada!

Cała polityka ekonomiczna, ta wielce zawiła i mądra nauka, ta gra na najdelikatniejszym instrumencie, jakim jest dziś giełda międzynarodowa, wszystko to, czego uczą w setkach wyższych szkół i nad czem się głowią najmądrzejsi „ekonomiści“, w gruncie rzeczy opiera się na . . . humbugu! Olbrzymi, sztuczny gmach ekonomiki współczesnej zbudowano, jak prawdziwy domek z kart, z papierów: banknoty trzy-, cztero-, pięcio- i wielokrotnie przewyższające swą nominalną ilością ów „nietykalny“ (!) zapas złota, listy pożyczek, których żadne państwo nie jest w stanie opłacić, bo przewyższają w każdym razie wartość ruchomego majątku państwa, obligacje i akcje, akcje i obligacje! Przy lada wstrząsie gmach ten chwieje się groźnie, tu i ówdzie zapada i publiczność zaczyna doń instynktownie tracić zaufanie, co się objawia obniżeniem się wartości owych papierów, obniżeniem, dochodzącem już (zwłaszcza względem akcji) do stu procent!

Kryzys! — woła ludzkość i nie rozumie, że to nie żaden kataklizm, ale poprostu odruch prostej logiki myślenia: sztuczność papierowa musi ustąpić miejsca realnej wartości.

Złoto przestało krążyć wśród ludności świata, tak, jak

to dotychczas robiło; i podobnie, jak gdy w starczym organiźmie przestaje krążyć krew, powstają zatory i skrzepy, tak i złoto gromadzi się biernie w kilku nielicznych punktach. Kryzys złota, który właśnie obecnie wybucha ze wzmożoną siłą, można więc porównać z daleko posuniętą sklerozą u starca. Czyż więc zbliżamy się do śmierci świata? Czy raczej do śmierci cywilizacji, otrutej przez zdemokratyzowanie, zmechanizowanie i „postępowość" społeczeństw!

Dla uzdrowienia stosunków świata należy — nie lękając się zarzutu zacofania i nie lękając się niebywałej wrzawy, jakąby takie postępowanie niezawodnie wywołało — przystąpić do redukcji we wszelkich gałęziach produkcji i we wszelkich działach kredytu! Poczynając od obowiązkowego podniesienia pokrycia złotem biletów bankowych, możliwie do pełnych stu procent, wzmożenia natomiast działania mennic przez wypuszczanie w obieg złota, aby napis, który czytamy na pieniądzu papierowym, iż „w każdej chwili jest wymienianym na złoto", nie był fikcją — aż do likwidacji banków rządowych, jako instytucji czysto kredytowych i opartych tylko na zaufaniu do państwa, a więc też na kredycie, który jest głównym czynnikiem kryzysów. Ograniczyć dalej należy wysokość pożyczek państwowych, czy społecznych, do realnych, logicznie możliwych i wykonalnych granic, to znaczy do sum, które bez nadmiernych wysiłków mogą być przez dłużników spłacone; przeprowadzić przymusową likwidację wszelkich towarzystw, których akcje obniżą się poniżej pewnej określonej sumy nominału, jak również i tych, które przynajmniej kilka procent dywidendy regularnie nie płacą. Nie rozdymać przemysłu ponad normalne zapotrzebowanie rynków, nie podtrzymywać kredytem upadających beznadziejnie placówek — słowem, mniej „ruchu", a więcej realnej pracy, mniej „papieru", a więcej „wartości"!

Ale tak „radykalnych" reform nie da się przeprowadzić

dyskusją i posiedzeniami, ale chyba tylko pewną rozumną siłą — a więc swego rodzaju kontrrewolucją!

Że zespół kryzysów wyrósł na tle ogólnego rozkładu społecznego, z tego zdaje sobie sprawę bardzo wielu i widząc to, zadaje sobie pytanie: któż to tworzy ten rozkład, kto kieruje tymi przewrotami?

Bardzo silnymi dowodami popartą jest odpowiedź, iż działają tu głównie masonerja i żydostwo, że robota ich jest celową, a cel ten, to właśnie rozkład społeczeństw. Dziś niewiadomo, która właściwie z tych dwuch tajnych rządzi mocy, bo obie są tajne, splątane i dokładnie wzajemnie zakrywające się; możemy jednak twierdzić, że chociaż i żydostwo i masonerja bynajmniej obcemi nie są rządom i przewrotom świata, że chociaż zdają się być nawet głównymi kierownikami kryzysów, to jednak same nicby nie wskórały, gdyby nie masa światowej „inteligencji".

Żydostwo i masonerja są pasorzytnymi organizmami, więc mogą i muszą żerować tylko na odpowiednio rozkładających się pożywkach, na sprzyjającym im bezbarwnym i biernym „buljonie" burżuazyjnej inteligencji. Bez burżuazyjnej psychiki, bez jej owczego pędu za „postępem", bez snobizmu naukowości, samozadowolenia demokracji w swej „majestatycznej" doskonałości, bez nienawiści burżuazyjnej do klas wyższych i pogardy dla robotników, nicby nam ani masonerja, ani żydostwo nie mogły zaszkodzić! O tym fakcie doskonale rozkładowe żywioły wiedzą, to też niemasz bardziej przekonanych czcicieli i obrońców demokracji, jak właśnie żydostwo i masonerja, a w każdem demokratycznem stronnictwie główny procent zwolenników składa się bądź z żydów, bądź z mechesów, bądź z członków tajnych związków.

Zresztą cała ideologja dzisiejszego demokratyzmu bierze swój rzeczywisty początek w rewolucji, a nie ulega żadnym wątpliwościom fakt, iż niema i nie było rewolucji, któraby nie była organizowana i kierowana przez związki masońskie i żydostwo. Nic to jednak nie zmienia rzeczywisto-

ści faktu, że istotną przyczyną dzisiejszej epoki rozkładu jest sama psychika inteligencji burżuazyjnej demokracji, która sobie sama założyła stryczek na szyję i dziwić się zaczyna, iż ją teraz ten stan dławi! Przepowiednia Marksa spełnia się.

W obłędnej wprost nienawiści do arystokracji, a co za tem idzie i do monarchji, oraz wszelkiej silniejszej i samodzielniejszej władzy, demokracja zabiła swoją własną elitę. Łącząc w doktrynerskiej psychologji wszystko to, co wyniosłe, z tem, co jest poprostu wysokiem, demokracja zdołała już zdruzgotać podstawy cywilizacji i kultury społecznej, wdeptując w tłum wyborowe jednostki. Zapanował dosłownie „stan średni", raczej można powiedzieć „mierny" i najpotężniejsze zdarzenia historji świata odbywają się wobec miernoty ludzkiej. Epoka, która winna była wydać szeregi tytanów, jest matką takiej szarzyzny demokratycznej, z jaką dotąd nigdy historja się nie spotkała!

Przyczyna kryzysu światowego, a raczej istota zasadnicza tych przyczyn, leży bezwzględnie w samych podstawach ustrojów społecznych nowożytnego świata, w tem ideowem zwichnięciu przez rewolucję wszystkich wytycznych celów ludzkości! Próżno dziś oczekiwać na zbawców, czy wodzów, którzyby świat z tego sztucznego wyprowadzili bagniska, bo ustroje demokratyczne zawsze i wszędzie starają się wybitne jednostki zatrzeć, wodzów wgniatać w szeregi swych pionków, a jeżeli tylko można, skrócić o . . . głowę!

Próżno też czekać na jakieś ożywcze podmuchy twórczych myśli, świeżych ideałów, bo bagnisko zalewa dziś już świat cały, a z bagien jeno trujące wydobywają się opary.

Dziś każdy człowiek, pragnący uzdrowienia społeczeństwa, winien, ściśle w swoim pracując zakresie, w swojem

kole i w swoich możliwościach, ku jednemu dążyć zadaniu — ku przygotowaniu — zbawczej kontrrewolucji!

Józef hr. Tyszkiewicz.

Mimo, iż autor przejaskrawił może nieco pewne zjawiska i wnioski, to jednak ma w zasadzie niewątpliwie zupełną rację. Prosimy porównać niektóre jego tezy z art. p. Adolfa Kliszewicza p. t. „Duchowe podstawy niebezpieczeństwa bolszewickiego“ w listopadowym (XV) tomie tego pisma. Oba te artykuły, z różnych stron Polski i z różnych sfer pochodzące, zostały mniejwięcej równocześnie nadesłane do Redakcji. Żaden z nich nie był więc pisany pod wpływem drugiego. A jednak, jak wymownie zgadzają się w głębszej ocenie sytuacji!

Istotnie, wartoby się nad tym dziwnym stosunkiem zmaterjalizowanej do cna, demokratycznej burżuazji do ekspansji marksowskiej doktryny poważnie zastanowić!

Redakcja.

NA TEMAT STYLU.

Nie trzeba aż dowodzić, że styl w malarstwie, rzeźbie, architekturze i literaturze nie jest czemś oderwanem od „stylu“ psychiki danego społeczeństwa w danej epoce, ale jest jej bezpośrednią emanacją i więcej — stanowi zawsze jednolity blok z historją, myślą i działalnością narodu w danej chwili. Podróżny, przeglądając dzieła sztuki i literatury obcego społeczeństwa, może słusznie powiedzieć: Tyleście warci, ile warte są naprawdę płody waszej twórczości artystycznej i literackiej! I nie omyli się w tem nigdy.

Spójrzmy na dzisiejszą Polskę z tego punktu widzenia. Rzecz to niezmiernie trudna przedewszystkiem dlatego, że nie jesteśmy w bezstronnem położeniu obcego obserwatora, ale żyjemy atmosferą „rodzimą“, pod wpływem niejako dyktatury opinji naszych mniej lub więcej miarodajnych sfer artystycznych i literackich. Każą nam czcić (i obchodzić jubileusze) różnych współczesnych „wielkości“, piętnując lekceważącym wzrokiem każdego, kto ośmieli się doszukiwać plam na tych słońcach. Każą nam — pod groźbą napiętnowania nieuctwem — podziwiać każde dzieło nowego kunsztu, od marnych naśladownictw amerykańskich drapaczów chmur, aż do literackiej pornografji.

Stąd pewna trudność wdarcia się na platformę trzeźwej obserwacji i trzeźwego sądu. Ale, że to „Stańczyk“, jako protagonista polskiej myśli krytycznej od lat prawie czterystu, wszystko potrafić musi, nie oglądając się na vox populi, więc też, roztrącając artystyczny tłum łokciami, wdzieram się na platformę trzeźwej krytyki, otrząsam się z kurzu „miarodajnej opinji“ i — patrzę.

Nie patrzę już na literaturę, bo z tą rozprawiłem się

chyba dość gruntownie, nawet dwa razy, w poprzednich tomach tego miesięcznika, wzywając zdrową i myślącą inteligencję polską do buntu przeciw skarykaturowanej i sproletaryzowanej dzisiejszej poezji i prozie. Patrzę teraz przedewszystkiem na architekturę, bo w dzisiejszych czasach głodu mieszkaniowego a rozrostu gmachów etatystycznych ten dział sztuki odgrywa największą i najwidoczniejszą rolę.

I roztacza się przedemną, jak daleko okiem sięgnąć, ruch budowlany, ten właśnie polski „ruch budowlany“, o którym przynajmniej tyle w ostatnich paru latach wydano broszur, dzieł, mówek, recept i projektów podatkowych, ile zdołano wybudować izb mieszkalnych. A może nawet więcej było owych broszur, recept, projektów (niektóre wprost rewelacyjne!) i podatków, niż izb wybudowano.

Ale nie sprawa mieszkań mnie tu obchodzi, tylko stylu budynków. Gdzie okiem rzucisz, tam wszędzie — z nielicznymi wyjątkami — bloki i bloki, bez wyrazu, bez stylu, bez żadnej myśli artystycznej, jakgdyby były dziełem niekwalifikowanych pomocników murarskich, nie zaś patentowanych przez różne akademje, urzędy i magistraty architektów. Bloki i bryły, z dziurami na bramy i okna — ot i wszystko! Ba, żeby to murowano tym stylem tylko banki, urzędy i kasarnie mieszkaniowe! Możnaby to od biedy tłomaczyć brakiem pieniędzy na najskromniejszy nawet gzymsik w dzisiejszych demokratyczno-dziadowskich czasach, kiedy to — według doktryny — najuboższy proletarjusz ma być bogaczem, a w istocie największy bogacz jest na najlepszej drodze zostania proletarjuszem. Ale w tym bezstylu zaczyna się już projektować nawet świątynie, przyczem twierdzi się z patosem, że „tak będzie dobrze“.

A więc — myślę sobie — poco architekci i politechniki i kwalifikacje artystyczne i wyrzucanie na to wszystko pieniądzy? Wszak wystarczy nająć tylu a tylu robociarzy i kazać im wlewać beton między proste rusztowania z desek, albo kazać pomocnikom murarskim kłaść cęgły z wap-

nem między rusztowanie z żelaznych trawersów, ustawionych i spojonych przez ślusarzy! Poco wyrzucać pieniądze na honorarja artystyczno-inżynierskie? Wszak stylu, ani sztuki w tem wszystkiem oczywiście żadnej niema.

Cyt — właśnie, że jest! — gromią z oburzeniem wtajemniczeni. Ale ty, wsteczniku i nieuku, nic się na tem nie rozumiesz. Tobie w głowie ciągle jeszcze jakieś ozdoby, jakieś renesansy czy gotyki. Ty nie pojmujesz, że najpiększy styl, największa zdobycz conajmniej stu wieków, punkt kulminacyjny podniebnego wzlotu artyzmu architektonicznego w XX-ym wieku, to właśnie b l o k b e z s k a z y, to bryła geometryczna, która, wyzwolona nareszcie z przesądnych dodatków, uwypukla najlepiej „wartość materjału"! Nie rozumiesz, że takie np. mozolnie cyzelowane dziwadło mroków średniowiecza, jak katedra w Reims, to dzieło fanatycznie nabożnych rzemieślników, z których z pewnością żaden nie byłby w stanie wznieść się do wyżyn zbudowania czystego sześcianu lub prostosłupa. A właśnie najwyższa sztuka jest czystą i niepokalaną, jak bryła geometryczna. Jak w bryle geometrycznej tkwi prawda, tak i w naszej nowej sztuce, wzorowanej na bryłach, jest prawda. A prawda, to najwyższe piękno!

Tak prawią wielcy wtajemniczeni, a za nimi powtarza zgodny chór opinji publicznej. Powtarzają zwłaszcza rozgłośnie różnie niefachowe, amatorskie „pięknoduchy", które po załatwieniu codziennych geszeftów i geszefcików, wekselków i kredycików, pozwalają sobie wieczorem, w pięknym salonie i w dobranem gronie, na t. zw. „kwadrans duszy", czyli na wykazanie gościom, że i oni umieją „interesować się sztuką".

A już najgłośniej krzyczą różne gazety, bo przecież w każdej gazecie jest jakiś redaktor czy podredaktor, który choruje na znawstwo sztuki i utrzymuje stosunki ze „światem artystycznym", aby przynajmniej od czasu do czasu dać codziennym zjadaczom sensacyjnych nowinek politycznych i ponurych horoskopów gospodarczych także jakąś

strawę artystyczną, oczywiście w najnowszym stylu, co się po kilku takich daniach nazywa potem: artystycznym kierunkiem dziennika!

A więc styl — to bryła, a najpiękniejsza ozdoba — to gładka ściana z dziurami na okna. A kto święcie w to nie wierzy, tego precz wygnać z wszelkich konkursów i różnych innych „zachęt“ artystycznych, czy budowniczych, czy choćby tylko krytyczno-literackich!

A do tego wszystkiego przychodzi drugi jeszcze moment, niemniej ważny, niemniej stanowiący niezbędny przyczynek do dzisiejszej epoki i każdej epoki wogóle: skarga i bunt młodzieży, uciskanej przez poglądy starców, a szukającej oczywiście nowych dróg i dreszczów!

Bo przecież każdy młodzieniec, po zdaniu egzaminów, a nieraz nawet jeszcze i przed zdaniem egzaminów, musi z obowiązku szukać par force nowych dróg i nowych dreszczów. Dlaczego? Bo nie byłby młodzieńcem, bo taki już jest porządek rzeczy na świecie. Zakostniali w rutynie starcy, wyhodowani jeszcze w pojęciach „ubiegłego stulecia“, nie są w stanie zrozumieć całego piękna i artyzmu niepokalanej płaszczyzny! Radotują o jakichś tam Michałach Aniołach czy Bramantach, każą podziwiać jakieś gruzy na Akropolu, czy pretensjonalne freski po Watykanach, czy filistersko przeładowane wieżyce lub kopuły staroświeckich kościołów! Oh, quelle horreur! Ucisk, gwałt wobec młodzieńczego polotu, dążącego do poruszenia z posad ziemi, do „wielkiego światła i prawdy“! Tem się też oczywiście (!) tłomaczy, że młodym architektom tak trudno o posadę. Oczywista zazdrość i zawiść starych zacofańców i nieuków! Bo przecież każdy młody absolwent politechniki, czy nawet jakiejś niższej szkoły, ma za zadanie zrzucić wpajane mu tam łachmany staroświeckich stylów i szukać „nowych dróg i dreszczów“!

A teraz, szanowni panowie starzy i młodzi, szanowni wyznawcy „niepokalanej bryły“, jako najwyższej zdoby-

czy dzisiejszej i przyszłej epoki — pomówmy trochę na serjo!

Blok niepokalany, reprezentujący prostą bryłę geometryczną, nie przedstawia żadnego stylu, ani żadnej wogóle sztuki, ale poprostu tylko materjał surowy—a więc z grubsza ociosany pień drzewa lub blok kamienia. A żaden trzeźwy człowiek chyba nie zaprzeczy, że prosta belka drewniana lub kawał głazu, choćby ociosane, nia przedstawiają jeszcze jakiegokolwiek stylu. Styl bowiem wyrabiał się w toku rozwoju sztuki zawsze z harmonji dwuch niezbędnych motywów: użyteczności (celowości) oraz ozdoby. Równowaga tych dwuch motywów nadaje dopiero danemu kierunkowi architektury piętno odrębnego stylu.

Otóż w waszych usiłowaniach i dreszczach, panowie architekci powojennej epoki, odepchnęliście zupełnie stronę zdobnictwa, zwracając się wyłącznie tylko w stronę prostego utylitaryzmu. Aby zaś usprawiadliwić to wasze najoczywistsze lenistwo myślowe przed światem, wysunęliście hasło kultu nagiej ściany, co jest oczywiście niczem. I dlatego graniaste budy, przez was stawiane, mają wprawdzie wewnątrz różne pożyteczne urządzenia, pokoje, kuchnie, schody, windy i inne ubikacje, ale nie mają ani wewnątrz, ani zewnątrz żadnego stylu. To jasne, oczywiste i bezsporne — a pozatem jeszcze szpetne i obrzydliwe, o ile chodzi o wygląd tych waszych „dzieł sztuki“.

Ale nie was tu głównie winimy, lecz przedewszystkiem waszych zleceniodawców. Bo nie przymierzając, gdybym ja tak sobie chciał wybudować kamienicę czy willę (co za pretensjonalna fantazja, nieprawdaż?!), a jakiś nowoczesny architekt-pięknoduch, poszukiwacz nowych dreszczów, wyznawca niepokalanej bryły i „wartości materjału“, przyniósł mi taki swój projekt nowoczesny, to zaręczam, że znalazłby się daleko prędzej za drzwiami, niżby się tego w swej zarozumiałości „pioniera nowego stylu“ mógł spodziewać. I gdyby tak kilku lub kilkunastu zleceniodawców z nim postąpiło, to jestem pewien, że przyszedłby w końcu do prze-

świadczenia, iż jednak taki np. front Louvru paryskiego jest cokolwiek piękniejszy od nowego gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie!

Ale dopóki kilku rozumnych zleceniodawców kolejno i konsekwentnie tego nie uczyni, tak długo miasta nasze oszpecać się będą widomymi rezultatami teorji „kultu niepokalanej bryły".

Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że ten nowy dreszcz i „styl", to nic innego, jak nieodrodne dziecko dzisiejszej epoki, dzisiejszej apoteozy lenistwa i proletaryzującej wszystko demokracji. Demokracja bowiem, co miała w sobie ongiś twórczego, to już oddawna oddała na rzecz ogólnego postępu cywilizacji. Obecnie pozostała już naga i bezpłotna, w postaci proletaryzującej demagogji, „upraszczającej" ludzi i stosunki do dziadowskiego poziomu. Stąd ten kult nagiej bryły, stąd niechęć do przyozdobienia czemkolwiek szarej, beznadziejnej egzystencji ludzkiej. Byle zapchać społeczeństwu usta twardym chlebem — to wszystko! Żadnego piękna, żadnej z zamiłowaniem traktowanej pracy, żadnego prawdziwie artystycznego pomysłu.

I stąd to ten obrzydliwy, wstrętny, ordynarnie utylitarystyczny bezstyl, który przybierać zaczynają nasze miasta. Wszystko gładkie i równe, pociągnięte pod sznur. Z architektury takich domów bije wyraźnie nakaz: Nakarmij się, prześpij, a potem marsz do pracy (lub bezrobocia!), proletarjuszu - pracowniku! Niczego więcej od życia nie masz prawa wymagać. Półpełny żołądek i przepisowa ilość godzin mechanicznego zajęcia (a w jego braku pobór zasiłku dla bezrobocia) — to wszytko, czego może żądać obywatel pod panowaniem demokratycznego reżimu wolności, równości i braterstwa!

Oto najgłębsze, istotne źródło nowoczesnego bezstylu! Oto również wierny obraz tego, co tkwi w mózgach nowoczesnych artystów, co mózgi te urabia i kształtuje! Mózgi te, pod wpływem mechanizującego, bezmyślnego egalitaryzmu doktryny demokratycznej stały się gładkie i wypo-

lerowane, jak „niepokalana bryła". Zanikły w nich owe zwoje, które świadczą o rozwoju myśli i inteligencji. Bo te przecież w prawowitym ustroju demokratycznym są zbędne. A gładko wypolerowane mózgi artystów mogą wydawać na świat istotnie tylko gładko polerowane bryły. Pojęcie zaś o mózgu ludzkim, jako o półtorakilogramowej masie mechanicznie działających komórek, bez duszy — bo ta jest niepotrzebna w systemie „woli ludu" — wylało się na zewnątrz w postaci bryłowatego sposobu murowania, bez duszy prawdziwego artyzmu. A ordynarnie-materjalistyczne geszefciarstwo dodało swoje windy, telefony wewnętrzne, rury, rurki i różne postępowo-użytkowe aparaty, które stanowią główny cel każdego nowoczesnego gmachu i największą dumę każdego nowoczesnego architekta-artysty!

Ale nietylko duch nowoczesnej sztuki odbija się w tym bezstylu. Odbija się w nim również i bezstyl społeczno-polityczny całego narodu. A bezstyl w tem szerszem ujęciu, to bezprogramowość. Wszak nikt mi nie jest w stanie zaprzeczyć, że wyraz „program" stał się dzisiaj wyrażeniem, w lepszem towarzystwie poprostu nietaktownem i nieprzyzwoitem; dobry on może na wiecach gdzieś w karczmie lub pod gołem niebem, ale z kół inteligencji zupełnie jest wygnany. Na jego miejscu zdobył sobie prawo obywatelstwa tak zwany „zdrowy oportunizm", czyli: marsz naprzód, naoślep, za pierwszą lepszą konjunkturą, z której chwilowo można urwać jakiś doraźny ochłap, a o jutro mniejsza! Jest to owa „programowa bezprogramowość", która miarodajną jest dziś dla wszystkich warstw inteligencji — od góry do dołu. Jest to więc także owa niepokalana bezmyślność, która wyładowuje się w architekturze adoracją gołej bryły, w malarstwie nienaturalnem dziwactwem, a w literaturze także dziwactwem, z dodatkiem więcej lub mniej zawualowanej pornografji — często nawet wcale nie zawualowanej, ale bezczelnie się panoszącej, jako ostatni wyraz literackiego artyzmu. Bo istotnie, jeżeli gmach ma być gołą bryłą, uwypuklającą „wartość materjału" bez żad-

nych zdobniczych obsłonek, to i w literaturze powinna występować nagość ludzka, uwypuklająca „wartość mięsa“! Jedno tak piękne i logiczne, jak drugie.

Nie wiedząc, schodzimy do rynsztoka. Wszak rynsztok jest także wyrazem utylitaryzmu, a że szpeci i cuchnie, mniejsza o to!

Skoro jednak, obok powyższych przekonań, jest dzisiaj podobno mowa w społeczeństwie o jakiejś naprawie stosunków, więc sądzę, że zdrowa opinja publiczna — o ile wogóle u nas jeszcze istnieje — powinna nałamać protagonistów nowej sztuki i poszukiwaczy nowych dreszczów przedewszystkiem na tory prawdziwego piękna i jakiegokolwiek prawdziwego, choćby nieco starszego stylu. Czyż budowniczy musi koniecznie, par force, szukać nowych pomysłów, jeżeli ich nie ma? Wcale tej konieczności nie widzę. Niech zbuduje piękny gmach renesansowy, czy barokowy, czy gotycki, czy choćby nawet romański. Niech przedewszystkiem na nich wykształci swój smak, swą rękę i oko. A potem, na tej podstawie, może kształtować się ewentualnie jakiś styl nowy, specjalny produkt epoki radja i samolotów. Nie odmawiamy przecież zasadniczo naszej epoce prawa i zdolności wytworzenia jakiegoś nowego stylu. Ale stanowczo protestujemy, jakoby nim miał być i mógł być dotychczasowy bezstyl graniasty — bezmyślne, grubo utylitarystyczne ustawianie w blok belek czy kamieni, nie przekraczające poziomu inteligencji prostego pomocnika murarskiego.

Ale, aby jakikolwiek piękny styl nawożytny się wytworzył, nie trzeba z dziecinną zarozumiałością zrywać z dawnym dorobkiem cywilizacji i sztuki, a natomiast zerwać trzeba z proletaryzującą ideą demokracji, wyjałowioną do gruntu i wrogą wszelkiej ozdobie życia oraz wszelkiemu wysiłkowi wyższej twórczości indywidualnej.

„Stańczyk“.

BEZROBOCIE
JAKO PROBLEM SPOŁECZNY.

Tematem codziennym całego niemal świata cywilizowanego stało się w ostatnich czasach zagadnienie bezrobocia. Gdy się zważy na olbrzymie jego rozmiary na całej kuli ziemskiej, na fakt powstania poprostu osobnej klasy społecznej bezrobotnych, nabiera kwestja ta niezwykle wielkiego znaczenia w ogólności, a szczególnie jako zagadnienie społeczne.

Ludność przeżywa w obecnej dobie wielką tragedję, spowodowaną powszechnym kryzysem gospodarczym. O jej rozmiarach świadczą już same chociażby cyfry statystyczne. Wedle danych Międzynarodowego Biura Pracy wynosiła liczba bezrobotnych w styczniu b. r. 20 miljonów, a gdy się do tego doda na każdego bezrobotnego przeciętnie dwuch członków rodziny, to dochodzimy do cyfry 60 miljonów. Polska, jakkolwiek nie należy na szczęście do krajów, najbardziej tem złem dotkniętych, albowiem przypada na nią zaledwie 1 do 2% ogólnej liczby bezrobotnych, posiada mimo to, stosunkowo do swej ogólnej liczby robotników, znaczny odsetek bezrobotnych, o czem szczegółowiej w dalszym ciągu jeszcze będzie mowa. Znacznie gorzej przedstawia się sytuacja w tym względzie np. w Niemczech, na które przypada 20 do 25% ogólnej liczby bezrobotnych, a jeszcze gorzej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, które liczą około 10 milj. bezrobotnych.

Cała groza położenia tych miljonowych rzesz staje się tem bardziej zrozumiałą, jeśli się zważy, że tylko niewiele więcej, aniżeli połowa z pośród tych ofiar międzynarodowego kryzysu kospodarczego otrzymuje zasiłki. Zasiłki te obciążają z jednej strony skarb państwa, a z drugiej są one przeważnie przymusowo ściągane od pracodawców. Rzecz

oczywista, że te ciężary, wobec wielkiej liczby pobierających zasiłki bezrobotnych, są bardzo znaczne, oraz, że obarczeni temi świadczeniami w swej znacznej większości myślą nad tem, jakby się pozbyć tego koniecznego zła, za jakie dla siebie uważają obowiązek łożenia na bezrobotnych. Zbytecznem wydaje się zatrzymywać się dłużej nad tem, iż rzeczone zasiłki powodują jednocześnie obniżenie w znacznym stopniu stopy życiowej robotnika i pracownika, oraz zmniejszają jego siłę nabywczą jako konsumenta.

Do jak olbrzymich rozmiarów wzrosnąć mogły kwoty, łożone na bezrobotnych w postaci zasiłków, o tem świadczy najlepiej Anglja. Liczba bezrobotnych wynosi w Anglji około 2 i ¾ milj., przyczem bezrobotny w kraju tym, obarczony liczniejszą rodziną, pobiera około 400 zł. zasiłku miesięcznie, co powoduje dla państwa miljardowe wydatki. Przytem dodać należy, że przywódcy robotników w Anglji, pomimo znacznego spadku kosztów utrzymania—o 24%—słyszeć nie chcą o jakichkolwiek ustępstwach ze swej strony, jeśli chodzi o redukcję zasiłków dla bezrobotnych. O demoralizacji, jaka w tym względzie zapanowała wśród szerokich mas robotniczych Anglji, świadczy fakt, że bezrobotni stronią przeważnie od pracy, a tylko wykwalifikowani fachowcy mają zarobki znacznie wyższe, aniżeli wynoszą zasiłki. Ażeby więc znaleźć robotnika, trzeba mu zapłacić znacznie więcej, niż wynosi wysokość zasiłku, co podraża w znacznym stopniu robociznę. Z powyższego wynika więc, że instytucja zasiłków dla bezrobotnych, ogółem uzasadniona w swem założeniu, może w razie przesadnego zastosowania spowodować wręcz zgubne skutki dla danego państwa i społeczeństwa.

Naturalnym środkiem, zapomocą którego możnaby dążyć do zaradzenia złu, jest powiększenie popytu na pracę przez przysposobienie dodatkowej pracy. Ta droga wszakże niezwykle jest utrudnioną, w Europie wobec braku kapitału, w Ameryce wobec niedostatecznej siły konsumcyjnej. A zatem należy szukać innego wyjścia.

A więc znieść zasiłki dla bezrobotnych?

Cóż stałoby się wówczas? Zwolennicy instytucji zasiłków dla bezrobotnych odpowiadają nam na to:

Albo zmuszonoby bezrobotnych do zalania rynków pracy i wywalczenia sobie pracy przez tańszą podaż, czyli poniżej obecnych normalnych płac robotniczych, albo też musianoby dla nich sztucznie stworzyć pracę. Oczywiście możnaby tutaj zastosować stopniowe odbieranie zasiłków, np. najpierw tym, którzy je już najdłużej pobierają, zmuszając ich do przyjęcia pracy za wynagrodzeniem, równającem się mniejwięcej wysokości pobieranego zasiłku. Rzecz oczywista, iż dałoby się uruchomić wiele placówek gospodarczych dzięki niskim płacom robotniczym, gdyż stałyby się dzięki temu rentownemi liczne przedsiębiorstwa, które obecnie, przy normalnych płacach za pracę, nie mogą dawać pomyślnych wyników. Obydwa wyżej wymienione sposoby prób zniesienia zasiłków dla bezrobotnych musiałyby wszakże w końcu podzielić ten sam los niepowodzenia.

Niewątpliwie, musiałoby takie odjęcie zasiłków bezrobotnym, oraz zmuszenie ich do przyjęcia pracy za niskiem wynagrodzeniem, przynieść kapitalistom wielkie zyski. Ale, jak przedstawiałyby się skutki tego dla szerokich mas robotników i pracowników, oraz dla całokształtu życia gospodarczego? Otóż dla robotników równałoby się to znacznemu obniżeniu ich stopy życiowej, a co zatem idzie— zmniejszeniu siły nabywczej robotników i związanym z wszelkiem zmniejszeniem siły konsumcyjnej wstrząsom w całokształcie życia gospodarczego, czego dzisiaj w tak jaskrawej formie jesteśmy świadkami.

A więc społeczne i etyczne znaczenie zasiłków dla bezrobotnych jest dwojakiego rodzaju: zachowanie poziomu płac robotniczych przez ograniczanie rynku pracy, oraz zasilanie bezrobotnych ze środków sfer posiadających. Pierwsze ma taki sam skutek, jak dumping dla zmonopolizowanego rynku pracy. Część ogólnej podaży, która wpływałaby w kierunku obniżenia cen, trzymana jest zdala od rynku,

dzięki specjalnemu urządzeniu, a mianowicie tu przez dumping zagraniczny pod ochroną rodzimych ceł ochronnych, tam przez zasilanie bezrobotnych. W taki sposób ceny na rynku są utrzymywane i zabezpieczone przed spadkiem. Innemi słowy, zasiłki dla bezrobotnych stanowią jakby tamę, która chroni rynki pracy przed zalewem przez nadmierną podaż pracy, co musiałoby spowodować nietylko relatywne, lecz również absolutne zmniejszenie zarobków robotników i pracowników. Zerwanie tej tamy równałoby się więc zdziesiątkowaniu płac robotniczych. Instytucja zasiłków dla bezrobotnych przenosi jednocześnie siłę nabywczą z zamożniejszych sfer na uboższe.

Liberalni politycy ekonomiczni kapitalizmu, którzy są zwolennikami skasowania zasiłków dla bezrobotnych, widzą wyjście z sytuacji w wierze w zwiększanie produkcji. Co do tej kwestji, to niestety wykazują dzisiejsze stosunki ekonomiczne, nacechowane niezwykłym spadkiem siły konsumcyjnej, bardzo słabe możliwości. Przeciwnie, nadmiar produkcji stał się właśnie jedną z przyczyn światowego kryzysu gospodarczego. Łatwo możemy sobie jeszcze przypomnieć niedawną sytuację naszego rolnictwa w tym względzie, które rujnowały niskie ceny za zboże z powodu jego zbyt wielkiej produkcji.

Niewątpliwie, wiele słuszności zawiera podobne stanowisko; jest jednakże jedna wielka przeszkoda, a mianowicie, że zasiłki te pochłaniają w niektórych krajach (jak np. w Anglji, o czem już wspomnieliśmy) tak wielkie sumy, iż kontynuowanie takiego zasilania bezrobotnych à la longue staje się nadmiernym ciężarem dla czynników, obarczonych temi świadczeniami. Co więcej, liczba bezrobotnych wszędzie prawie bez wyjątku wzrasta, a tem samem kontygent kwot, łożonych na bezrobotnych, podnosi się również.

A więc należy szukać innych dróg.

Wysuwany jest przez niektórych teoretyków projekt osiedlania bezrobotnych, jako środek zażegnania klęski bezrobocia. Ponieważ niema widoków na wciągnięcie ogółu

bezrobotnych z powrotem do procesu gospodarczego, oraz zaszeregowania ich znowu między poszczególne gałęzie przemysłu i t. d., należy pomyśleć o stworzeniu nowych przestrzeni dla życia ludzkiego. I tu wysuwany jest projekt osiedlania bezrobotnych. Własne ognisko domowe z ogrodem dla bezrobotnego — oto treść tych koncepcji. Robotnik taki mógłby przy pomocy żony zapracować sobie przynajmniej część swego dawnego zarobku, jeśli nie cały. W taki sposób danoby bezrobotnemu zarazem dobre, zdrowe zajęcie, któreby go uczyniło odpornym na wszelkiego rodzaju zakusy skrajnych i wywrotowych doktryn. Własny domek z ogrodem zastąpiłby zarazem dotychczasową miejską szarą izdebkę, albo szczupłe mieszkanie, mogące pomieścić w kulturalniejszych ośrodkach robotniczych częstokroć raczej radjo, aniżeli gromadkę dzieci w możliwie higjenicznych warunkach, nie mówiąc już o nędznych ruderach, w jakich niejednokrotnie mieszkają robotnicy w niektórych krajach. Osiedlanie bezrobotnych winno być obowiązkiem miast, a do osiedlenia winna być użyta przedewszystkiem ziemia, którą miasta rozporządzają często w większej ilości. Siły finansowe miast są obecnie przeważnie zupełnie wyczerpane; niebawem będą miasta mogły wspierać swych bezrobotnych już tylko produktami w naturze, w miejsce dotychczasowych płac pieniężnych. A więc zamienić place, leżące niejednokrotnie bezużytecznie lub służące za składy kamieni, żwiru i t. p., na urodzajne pola warzywne i ogrody. W Niemczech np. stosowane jest osiedlanie bezrobotnych w taki sposób.

Zresztą już sami bezrobotni czynią to z własnej inicjatywy, jeśli im na to pozwala ich sytuacja materjalna, przyczem odbywa się to w sposób niesystematyczny, co wpływa ujemnie na centralne przyszłe zużytkowywanie danych przestrzeni . Często słychać głosy prasy zagranicznej, wskazujące na tę niesystematyczną działalność w niektórych ośrodkach.

W podobnych projektach chodzi więc głównie o zasto-

sowanie przez miasta specjalnej polityki przy rozporządzaniu zapasami ziemi, idącej w kierunku szczególnego uprzywilejowania bezrobotnych przez nadawanie im działek.

Jeśli chodzi o powyższy sposób rozwiązania problemu bezrobocia, to należy się poważnie zastrzec co do możliwości podołania przez odpowiednie czynniki sfinansowania podobnej akcji, połączonej z koniecznością wybudowania przedewszystkiem pomieszczeń dla tak wielkiej liczby nowych osiedleńców, nie mówiąc już wcale o szeregu innych trudności.

Wszystkie powyższe środki zapobiegania skutkom bezrobocia, względnie łagodzenia ich, okazują się więc bądź to zupełnie nierealnymi, bądź bardzo trudnymi do zrealizowania. Natomiast wyłania się jako najskuteczniejszy, a bodaj że jedyny środek: skrócenie czasu pracy, względnie stosowanie podziału pracy między większą liczbę robotników, oraz ustępowanie pracy na rzecz bezrobotnych żywicieli rodzin przez osoby nieletnie i młodociane.

Widzimy też, że ta koncepcja wysuwana jest w większości państw, a więc zarówno u nas, jak i np. w Anglji, Stanach Zjednoczonych, Niemczech i szeregu innych państw.

Jeśli przejdziemy na teren polski i zastosujemy teoretycznie w danym wypadku powyższą koncepcję, to możemy się przekonać, iż jest ona zupełnie realną i możliwą do przeprowadzenia. Dałoby się przez to niewątpliwie w znacznej mierze zmniejszyć bezrobocie. Gdy bowiem przyjmiemy natężenie rynku pracy, wyrażające się w styczniu b. r. liczbą 900.000 robotników, to dałoby się w drodze skrócenia długości dnia roboczego, względnie zastosowania podziału pracy między większą liczbę robotników, uszczuplić skupienia bezrobotnych w poszczególnych ośrodkach o 30 do 80%. Należy jednak zaznaczyć, że w wielu ośrodkach i gałęziach przemysłu liczba bezrobotnych jest w stosunku do robotników zatrudnionych tak wielka, że nawet przy maksymalnem zastosowaniu powyższego ośrodka da-

łoby się osiągnąć redukcję zastępu bezrobotnych w najlepszym razie tylko do 50%. Odnosi się to szczególnie do województw łódzkiego i poznańskiego. Cyfrowo przedstawiałoby się zastosowanie powyższego ośrodka, przy skróceniu czasu pracy do 6 godzin, oraz przyjęciu, jako natężenia rynku pracy, liczby 900.000 robotników, w taki sposób, iż zyskanoby pracę dla 225.000 robotników. Zmniejszyłoby to naszą armję bezrobotnych w nadchodzącym okresie zimowym o połowę przypuszczalnie, co należałoby już uważać za wielki sukces. Statystyka bezrobotnych, wedle danych Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy, który coprawda nie uwzględnia bezrobotnych niezarejestrowanych, wykazywała w końcu marca b. r. 380.000 bezrobotnych wobec 300.000 w styczniu b. r. Należy przypuszczać, że liczba ta wzrośnie w okresie zimowym do ½ miljona, co wraz z członkami rodzin wynosić będzie 1½ milj. osób, pozostających do zaopatrzenia.

Co się tyczy sprawy zastępowania nieletnich i młodocianych, nie obarczonych rodzinami, przez bezrobotnych żywicieli rodzin, to istnieją nader korzystne możliwości zwiększenia stanu zatrudnienia. Praca nieletnich i młodocianych w przemyśle i rzemiośle, która u nas znacznie jest rozwinięta, stała się poprostu podstawą oparcia kalkulacji handlowej odnośnych zakładów przemysłowych i rzemieślniczych w znacznej mierze na robociźnie niedorosłej młodzieży. Ma to szczególnie miejsce w przemysłach metalowym (przeważnie w mniejszych i średnich zakładach), szklanym, trykotarskim, a dotyczy przedewszystkiem wszystkich gałęzi rzemiosła. W wymienionych gałęziach przemysłu wynosi liczba małoletnich zatrudnionych 30 — 50% ogółu odnośnych pracowników. Niejednokrotnie zdarza się, że małoletni pracownicy zatrudnieni są przy ciężkiej pracy, szkodliwej dla ich rozwoju fizycznego, a często przy wytężonej pracy akordowej.

Akcja zastępowania więc małoletnich przez dorosłych bezrobotnych mogłaby u nas bardzo dodatnie dać wyniki.

Za dowód niechaj posłuży fakt, iż liczba dzieci nieletnich, terminatorów i młodzieży, zatrudnionych w przemyśle i rzemiosłach w województwach krakowskiem, lubelskiem, pomorskiem i poznańskiem, przewyższa w tych ośrodkach ogólną liczbą zarejestrowanych bezrobotnych. Dodać należy, że zarobki tych młodocianych są naogół tak niskie, że przeważnie nie starczą im samym na wyżywienie. A zatem taki młodociany robotnik nie stanowi ani pomocy dla rodziny, ani też nie jest konsumentem, a powiększa tylko zyski przedsiębiorcy. Gdy się więc zważy, iż w kraju istnieję około 50.000 niedorosłej młodzieży, zatrudnionej w przemyśle, oraz około 100.000 dzieci i młodzieży, zatrudnionej w rzemiosłach, staje się jasnem, iż zastąpienie ich przez bezrobotnych żywicieli rodzin mogłoby przyczynić się w wysokim stopniu do złagodzenia skutków bezrobocia.

Jeśli chodzi o kwestję, w jaki sposób ograniczać pracę młodocianych na rzecz zatrudniania dorosłych żywicieli rodzin, to istnieje kilka możliwości. Np. w Niemczech i Holandji wysuwany jest projekt przedłużenia okresu szkolnego w ten sposób, iż młodzież pozostawałaby — zamiast do 15-go roku życia — w Niemczech do 16-go, a w Holandji do 17-go, przyczem obowiązywałby letni okres dokształcania.

Podnoszona jest również kwestja przesunięcia wzwyż granicy wieku, uprawniającej do zarobkowania. Pozatem pozostawałaby jeszcze rozbudowa ustawodawstwa, dotyczącego młodocianych oraz sprężystsze przestrzeganie odnośnych przepisów prawnych. Wreszcie należałoby też położyć wielki nacisk na uporządkowanie pośrednictwa pracy, zaprowadzenie obowiązkowego zgłaszania wolnych miejsc. Wszystkie powyższe środki, bądź to w charakterze zapobiegawczym, bądź ewidencyjnym, musiałyby się bezwątpienia znacznie przyczynić do zmniejszenia bezrobocia oraz łagodzenia jego skutków.

Wreszcie istnieją jeszcze wielkie zastępy robotników, którzy nie utrzymują się jedynie z pracy najemnej, a nato-

miast posiadają inne środki utrzymania. Dotyczy to zwłaszcza właścicieli gospodarstw rolnych, tak mniejszych, jak i większych. Ma to miejsce przeważnie w przemyśle, głównie we włókienniczym, oraz przy wszelkich budowach kolei, dróg, mostów etc. Np. w zakładach przemysłu włókienniczego w okręgach Biała — Bielsk i Częstochowa zatrudnionych jest bardzo wielu wieśniaków i wieśniaczek z okolic, a często nawet małżeństw, zarobkujących w ten sposób dodatkowo, a utrzymujących bardzo często najemnych pracowników we własnych gospodarstwach.

Pomijamy tu liczne inne sposby walki z bezrobociem, które są normalnymi paljatywami w okresach bezrobocia, jak organizacja na większą skalę robót publicznych etc.

Z powyższych uwag wynika z jednej strony, że problem, wobec którego znajdują się państwo i społeczeństwo, jest niezmiernie ważny oraz zawiły, a z drugiej, iż są istotnie środki, zapomocą których można łagodzić skutki bezrobocia. Zadanie to wszakże bynajmniej nie jest łatwe. Istnieje bowiem konieczność zorganizowania szeroko zakrojonej, planowej akcji, jeśli ma być skuteczną. Na zadanie to składają się konieczności natury społecznej, gospodarczej oraz politycznej. Należy przedewszystkiem przyjść z pomocą dotkniętym klęską bezrobocia, dać pracę, nieść ulgę nędzy ludzkiej, budzić nową nadzieję. Należy przez dopuszczenie jak największej liczby osób do pracy ożywić konsumcję i wspomagać w ten sposób rodzimy przemysł. Należy wreszcie w jaknajszybszem tempie likwidować armię bezrobotnych, stanowiącą stale tlące ognisko niezadowolenia i fermentu, co przy sprzyjających warunkach spowodować może państwu nieobliczalne szkody.

Celem realizowania tych planów powołane zostały do życia w całym szeregu państw specjalne instytucje o charakterze stałym i z rozległemi kompetencjami, jak np. w Anglji i Stanach Zjednoczonych.

U nas powstał dla wprowadzenia w czyn tej akcji Naczelny Komitet do spraw bezrobocia, instytucja o charakte-

rze społecznym, z udziałem przedstawicieli sfer zainteresowanych, a więc pracodawców i pracowników. Apel czynników rządzących do społeczeństwa nie pozostał bez skutku. Znaczna część instytucji i organizacji przystąpiła już do pracy. Całkiem szczególne znaczenie posiada tu równoległa akcja Kościoła. Biskupi wydali odezwy do duchowieństwa i wiernych, nawołując do współdziałania w tej akcji z czynnikami oficjalnymi oraz niesienia bezrobotnym pomocy pod wszelką postacią. W djecezjach, w parafjach powstają specjalne komitety pomocy bezrobotnym. Np. w warszawskiej archidjecezji utworzony został, pod protektoratem ks. kard. Kakowskiego, przez tow. Charitas specjalny komitet, który zajmie się, najpierw na terenie Warszawy, zbiórką żywnościową i pieniężną. W Poznańskiem powstał Komitet Wojewódzki pomocy bezrobotnym pod protektoratem ks. kard. prymasa Hlonda oraz naczelnych władz wojewódzkich. Kard. Hlond wydał niezwykle porywającą i bogatą w treść odezwę w sprawie bezrobocia, w której nawołuje do niesienia pomocy bezrobotnym i nakazuje, by mieć szacunek dla nędzy bliźniego i nie prowokować jej niczem, ograniczając się w obecnym ciężkim czasie nawet w tem, co jest dozwolone i nieprzesadne.

Jest rzeczą niewątpliwą, że Kościół ze swą znakomitą organizacją przyczyni się w bardzo wysokim stopniu do łagodzenia skutków bezrobocia.

Z powyższych uwag na temat bezrobocia nasuwa się szereg wniosków. Przedewszystkiem ten, iż chodzi o szybki, zdecydowany czyn. Następnie działalność ta musi być wielką, ogólno-społeczną akcją, rodzajem powszechnej mobilizacji wszystkich sił społeczeństwa, albowiem mowy tu być nie może o tem, by aparat administracji państwowej, zgoła w tym wypadku nie wystarczający liczebnie, nastawiony zasadniczo li tylko do pełnienia normalnych czynności urzędowych, mógł temu zadaniu podołać. Wreszcie nieodzowną jest ofiarność każdego poszczególnego obywatela — czyby ta ofiara jego miała miejsce pod postacią dat-

ku ze swego mienia, czy też zredukowania jego zarobku. Szczególnym zaś przytem obowiązkiem każdego jest powstrzymywanie się od szerzenia defetyzmu pod jakąkolwiek postacią, albowiem mniejszą ofiarą byłoby pogodzenie się z redukcją płacy, niż szkoda, powstała przez szerzenie fermentu, którego skutków często nie można przewidzieć.

E. Rewerowski.
